

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 3 MARCA 1928 ROKU

NR 10

TREŚĆ NUMERU: Spełnijmy obowiązek obywatelski! — Kult wielkich ludzi — *Natalja Jastrzębska* Dom czy schronisko? — *Zofia Miszewska*. „Szielka wróżebne”: „Robert”, „Piotr”, „Ludwik”, „Jacek” — *Kazimiera Illakowiczówna*. Kraków i Warszawa w 1813 roku — *Anna z Krajewskich Nakwaska*. Przygody błękitnych możliwości (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* U źródeł mody — *N. J.* Ekonomia domowa na Kongresie Międzynarodowym (c. d.) — *M. Karczewska*. Jak odświeżyć suknie plisowane — *J. S.* Kuchnia u różnych narodów — *S. S.* Inwentarz — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i roboty: Czarne i białe — *Well*. Dwa modne woreczki. Dodatek powieściowy: „Tydzień w raj” — *Marino Moretti* — autoryzowany przekład z włoskiego *Franciszka Baturewicza*. Arkusz wzorów.

SPEŁNIJMY OBOWIĄZEK OBYWATELSKI!

Jesteśmy w przededniu wyborów. Jutrzejsze głosowanie rozstrzygnie, czy nawa państwowa popłynie bez przeszkód po wartkim nurcie scentralizowanej pracy, ku jasno wytkniętemu celowi dobra ogólnego, czy też prawidłowy bieg tych spraw będzie nadal zamulany bezmyślną opozycją i bezpłodną krytyką. Tkwi jeszcze w nas, niczem zadra w jątrzącej ranie, przeżytek spaczzonego kultu wolności i równości szlacheckiej, który w silnej władzy upatruje zawsze niebezpieczeństwo absolutum dominium.

Dzisiaj, w momencie przełomowym dla kraju całego, musimy sobie zdać sprawę z grozy położenia. Oto z odmetów walk partyjnych wyłania się samobójcze widmo abstynencji wyborczej. Coraz częściej rozlegają się głosy zniechęcenia i apatii, kończące się wymownym machnięciem ręki i słowami:

— Poco mam głosować? Nie pójdę do urny! Niech się dzieje, co chce!

A przecież te pojedyncze głosy—to ziarenka piasku, których miliony, przesypane w klepsydrze historii, mogą zatrzymać lub przyspieszyć nową godzinę na zegarach świata!

Każde takie ziarenko, rozproszone po ugorach śpiączki politycznej, może kamieniem bezpowrotnej krzywdy zaciążyć na sumieniu opieszłych, nieobecnością swoją przy urnie żłobiących szczyrby i rysy w zwartym froncie wyborczym.

Nie wolno nam zapomnieć o dwu rzeczach. Pierwsza—że ci, którym nie chodzi o dobro państwa, ale o jego rozbicie, nie będą mieli naszych skrupu-

łów i klinem rozsadać każdą szparę, wytworzoną przez maruderów obowiązku, tłumnie zajmując miejsca, przeznaczone dla budowniczych, a nie dla burzycieli.

Druga—że pomyślny wynik wyborów, stworzenie z przyszłego sejmu jednolitego ciała ustawodawczego może raz nazawsze położyć kres marnowaniu sił społecznych, skierowując we właściwe łożysko nurty życiodajne, dotychczas uwięzione w stawidłach ciasnej demagogii, albo rozbite na miliony kropel w młyńskim kole waśni partyjnych.

I tu, na tem rozdrożu, gdzie krzyżuje się poczucie obowiązku i odpowiedzialności społecznej z obojętnością i inercją nawyku, musi przyjść do głosu nieomylny instynkt kobiety polskiej. Ten, dzięki któremu przechowała i wyprowadziła z domu niewoli nieskalaną ideę niepodległościową, ten sam instynkt, pogłębiany świadomością społeczną, wsparty usamodzielnieniem politycznym, powinien jej wskazać najprostszą drogę konkretnych urzeczywistnień, którą jest pójście po linii pracy państwowo-twórczej.

Prawo głosowania, o które dziś jeszcze ubiegają się kobiety wielu krajów, jest nie tylko naszym prawem, ale i obowiązkiem. Niechże kobieta polska przy spełnianiu tego obowiązku odegra jeszcze raz tradycyjną rolę sumienia obywatelskiego, którą chlubnie spełniała w ciągu szeregu wieków, a od której nie wolno jej się dziś uchylać, pod grozą ciężkiej odpowiedzialności wobec państwa, rodziny i siebie samej.

Jutro, przy urnie wyborczej musimy dać świadectwo naszej dojrzałości politycznej i równowagi społecznej.

KULT WIELKICH LUDZI

jako czynnik wychowawczy

Niejednokrotnie daje się dziś słyszeć narzekania na zbytnią trzeźwość młodzieży, na zanik wśród niej kultu dla przeszłości, dla ideału bohaterstwa i wielkich ludzi.

Nie należy tego brać zbyt tragicznie, składa się na to bowiem wiele przyczyn, od samej młodzieży niezależnych, i bynajmniej nie jest zawsze dowodem lekkomyślności młodych, lecz raczej wynikiem całego ducha epoki.

Przedewszystkiem, zarówno warunki życia, jak i system nauczania pośpiesznie i nadmiernie rozwija młodzież w kierunku umysłowym, skutkiem czego wyostre się w niej zmysł krytycyzmu, a zanika ślepe uleganie autorytetom. Odbija się to częstokroć na stosunku do najbliższego otoczenia, do starszych, rodziców i nauczycieli, odbić się musi również i na sposobie patrzenia na życie publiczne, obecne i przeszłe, i na działające wśród niego wybitne jednostki.

Dalej—sam system nauczania inaczej dziś podaje do wiadomości uczniów wszystko, co zdarzyło się w historii, lub co dzieje się obecnie. Dawniej historia była poprostu szeregiem życiorysów królów i wielkich ludzi, które uwypuklały przedewszystkiem ich czyny w aureoli bezkrytycznych nieraz pochwał kronikarzy, z pietyzmem powtarzanych przez uczących i przez młodzież. Dziś wyklada się genetyczno-pragmatyczny obraz całokształtu życia i kultury danej epoki, w którym krytycyzm nauczyciela, a nierzadko i ucznia, uwypukla, obok wielkich czynów, i słabości ludzkie u mężów dziejowych. Nie mówiąc już o współczesnych, z których najzacniejsi, najwięksi, najbardziej genialni, jakże często ulegają krytycznym i zawistnym sądom różnych partij, atakom prasy i t. p., które młodzież słyszy, czyta i na ich zasadzie kształtuje swe poglądy.

Wszystko to nie wpływa korzystnie na wyrobienie kultu dla bohaterów, a dodać jeszcze do tego trzeba, że istotnie ludzkość zaszła bardzo daleko na drodze rozwoju zarówno intelektualnego, jak technicznego, i że w blaskach tego rozwoju młodzież bardzo łatwo zatracą kult przeszłości. Stosunek do niej u ludzi współczesnych, w jednej ze swych przepyszných satyr do skonale zilustrował Winawer.

Oto jakiś mieszkaniec Pól Elizejskich, powróciwszy tam po chwilowym pobycie na ziemi, opowiada Arystafenesowi: „Co tam u nich teraz Cezarby znać! Na posterunkowego by go nawet nie przyjęli, boby go na pierwszym rogu ulicy przejechano!”

Wobec tego możemy się dziwić, że upadło wiele autorytetów i że młodzież nie tak łatwo i entuzjastycznie, jak dawniej, je uwielbia?

Czy jednak należy dlatego wykreślić z jej przeżyć duchowych jedno z najpiękniejszych uczuć — cześć i umiłowanie dla wielkości, dla bohaterów ducha i czynu?

Stanowczo—nie. Byłoby to wielką krzywdą, ogromnem zubożeniem ducha, potarganiem najpiękniejszego pióropusza młodości—entuzjazmu, który, obok miłości idei i spraw, wykwić powinien również żywym, gorącym umiłowaniem ludzi, spraw tych szerzycieli i bojowników.

Należy tylko wskazać młodzieży nową drogę, dopomóc jej do właściwego ustosunkowania się do tych spraw.

Zadanie to spada, jak i wszystkie inne zadania wychowawcze, na dwa główne ośrodki wychowania—na dom i na szkołę.

Otóż dom nie spełnia obecnie w tym zakresie swego zadania ani trochę.

Przeszłe pokolenia, nasi dziadowie, posiadając o wiele mniej „książkowej nauki“, mieli o wiele więcej idealizmu i poszanowania dla wiedzy i dla twórców czynu. W iluż to dworach i dworach uczono dzieci czytać na żywotach sławnych mężów Plutarcha, jak przechowywano tradycję wybitnych czynów i ludzi w rodzinach, jak odnoszono się do pisarzy swojej epoki! W iluż to domach wielcy wygnańcy—Mickiewicz, Słowacki, Lelewel—byli jak gdyby obecni i przytomni, otoczeni czcią i miłością, uważani za bliskich, znani, jak najbliżsi! Uczucia te wchodziły w skład atmosfery domowej, młodzież wśród nich rosła, odychała niemi i żyła.

A my dziś wszystko to niby wiemy i pamiętamy, nierzadko mamy nawet bogate księgozbiory, jesteśmy w kontakcie z wszystkimi twórcami poczynaniami całego świata, ale po niewesołej pamięci epoce pozytywizmu odziedziczyliśmy brak entuzjazmu i trzeźwy realizm, a dziś absorbuje nas tak polityka, radio, życie towarzyskie, interesy i cały współczesny wartki nurt życia, że nie mamy czasu wszczepiać w nasze dzieci ani kultu przeszłości, ani nawet głębszej oceny otaczających nas obecnie zjawisk i ludzi. Czy często mówimy z naszymi dziećmi o bohaterskich czynach Polaków na wszystkich krańcach świata w czasie ostatniej wojny? Czy zastanawiamy się i analizujemy z niemi psychikę np. Wilsona, Dunin-Markiewiczowej, króla Alberta, D'Annunzia, itp., itp.?

Nie miejmy potem do młodzieży pretensji, że, teoretycznie wysoko wykształcona, realnie pochłonięta również życiem, sportem i zabawą—widzi na planie tego życia przeważnie tylko siebie.

O wiele lepiej spełnia w tym kierunku swe zadanie szkoła: — wynika to poprostu z jej istoty. Ale szkoła przechodzi obecnie w Polsce, jak i wszędzie, pewien kryzys, przesilenie ustrojowo-programowe, i posiada wiele spraw, zupełnie jeszcze nie skrystalizowanych. Ścierają się w niej dziesiątki systemów i poglądów.

Szkoła nie rozstrzygnęła jeszcze wcale swego najważniejszego problemu: — unormowania programu i ustosunkowania go do całokształtu współczesnego życia.

I właśnie ta sprawa kultu bohaterów ludzkości, nad którą się niejednokrotnie w szkolnictwie zastanawiano, może służyć, jako przykład rozbieżności poglądów i braku ich unormowania. Gdy jedni pedagodzy zalecają np. kult dla rocznic narodowych, obchodzenie ich w szkole i t. p., inni, bardzo poważni teoretycy, kładą w metodyce historii nacisk na to, aby nauczyciel unikał oficjalnego szablonu, aby starał się raczej obudzić wśród młodzieży zainteresowania osobiste i samodzielne dla różnych postaci wielkich ludzi i aby na tem dopiero tle sami uczniowie organizowali obchody, poświęcone pamięci swych ulubionych bohaterów.

Tą właśnie drogą poszła jedna z organizacji amerykańskich, która w r. 1925 ogłosiła międzynarodowy konkurs dla młodzieży, od 10 do 18 lat, na napisanie ćwiczenia pod tytułem: „Kogo uważam za największego bohatera ludzkości“, ustanawiając nagrodę 1200 dolarów za najlepszą pracę. Jako główny warunek postawiono, aby wybrany bohater był szerzycielem idei braterstwa i pokoju.

I, rzecz dziwna, ile jednak ta zmaterializowana dzisiejsza młodzież posiada zdolności wgłębiania się w przedwieczną przeszłość, wydobywania z otchłani czasu owych nieśmiertelnych wielkości! Najlepszą pracą, która otrzymała pierwszą nagrodę, było ćwiczenie, stawiające na piedestale, jako największego bohatera ludzkości — Sokratesa, jako geniusza rozumu i serca, jako człowieka nieustraszonego, nie uchodzącego przed śmiercią i przebaczącego swym wrogom w chwili skonu! Prócz tego ćwiczenia, dalsze nagrody otrzymały prace, podające jako największych bohaterów Franklina, Wilsona, Waszyngtona, Kolumba, Lincolna, Pasteura, Florencję Nightingale, Gutenberga, Livingstone'a, Stephensona i... Joannę d'Arc.

To ostatnie ćwiczenie dowodzi jasno, że inicjatorzy konkursu zrozumieli, iż szlachetna doktryna pokoju nie zawsze może być literalnie stosowana w życiu.

Obecnie drugą próbę tego rodzaju podejmuje kobieca „Liga pokoju i wolności“ w Austrii, rozpisując podobny konkurs, krajowy, lecz związany z międzynarodowym terminem 18 maja, który to dzień został, na propozycję Ameryki i Anglii, uznany przez wszystkie państwa, jako dzień Święta pokoju.

Omawiając ten konkurs, pedagodzy i wychowawcy austriaccy rozwijają szeroki program kultu bohaterstwa i wielkich czynów, orjentując go w kierunku nietyle głośnych osobistości historycznych, ile raczej ludzi cichego poświęcenia, nie rozślawionych po świecie: lekarzy, padających ofiarą swego zawodu, opiekunów dzieci i sierot, uczonych, ratowników ofiar nieszczęśliwych wypadków, lotników, siostr miłosierdzia etc.

Zarówno sama myśl zasadnicza tych prób, jak i rezultat konkursu amerykańskiego dowodzą, że należy budzić w młodzieży i szerzyć wśród niej kult wielkiego ducha i wielkich czynów, i że ta idea wydaje pomyślne owoce.

Współdziałać tu winny, jak zawsze, dom i szkoła. W domu musimy stworzyć sobie atmosferę tego kultu—jego umiłowanie. Znaleźć choć chwilę, by z naszymi dziećmi pomówić o wielkich sprawach i ludziach wielkiego ducha. Nie potrzeba na to wiele czasu: często wystarczy parę zdań, jakaś wskazówka, zwrócenie na coś uwagi, chwila osobistego wrażenia, dostrzegalna dla otoczenia,—na to trzeba tylko przede wszystkim, aby rodzice sami te rzeczy umieli odczuwać, aby były one częścią integralną ich duchowych przeżyć.

Do zadań zaś szkoły należy wskazanie wychowankom drogi zrozumienia i oceny czynów i osób wielkich ludzi. Trzeba nauczyć młodzież nie szablonowego na lekcji uznania dla wielkości, lecz ujrzenia człowieka w świetle epoki; przewartościowania swego sądu z powierzchownego zachwyty nad bohaterem, na poznanie istoty i psychiki wielkiej duszy ludzkiej; odnalezienia w niej pierwiastków, najbardziej odpowiadających własnym ideałom, i prawdziwego jej ukończenia. A wtedy takiego uczucia nie zniweczy rozmowy krytyczym.

Wartoby i u nas pomyśleć o podobnym do amerykańskiego i austriackiego konkursie, choć oświadczyć wyłączyłabym zeń nagrody pieniężne.

Konkurs taki rozbudziłby pojęcia i uczucia młodzieży w tym zakresie i—jeśli byłby dobrze obmyślony, przyniósłby rodzicom i nauczycielstwu bogaty plon do studjów nad psychiką obecnego młodego pokolenia.

Bo zważmy, ile ideałów wielkich duchów Polski, ile ich wskazań wisi do dziś w przestrzeni, zagłuszonych w okresie niewoli, niezrealizowanych dotychczas w nowym, tworzącym się zaledwo życiu społecznym i państwowym!

Dom i szkoła muszą współdziałać w skierowaniu młodzieży do głębokiego poznania twórców tych idei i przejęcia się nimi.

Jeśli stanie się to, wtedy młode pokolenie oprze odrodzoną ojczyznę na granitowych podstawach wielkiego ducha.

Natalja Jastrzębska,

ZOFJA MISZEWSKA

DOM, CZY SCHRONISKO?



Dom noclegowy dla kobiet: Pracownia.

Chcę dziś poruszyć sprawę, koło której my, mieszkańcy wielkich miast, przechodzimy nieomal codziennie, o której czytamy w pismach, a jednak, kierowani egoistyczną oschłością własnego dosytu, poświęcamy jej najwyżej jeden króciutki moment litościwego spojrzenia. Chcę mówić o bezdomności.

Nie jest jej na imię ani występki, ani nędza, ani włóczęgostwo, — ale wszystko jej istotne mieści się w jednym określeniu: brak dachu nad głową. Dawniej, przed wojną, gdy życie ogółu płynęło spokojnie po raz wytkniętych szynach, pojęcie tego rodzaju nędzy było przeciętności niesłychanie dalekie. Wojna swymi kataklizmami zbliżyła go nam, niestety, przez długie, rozpaczliwe bytowanie „uciekierów”, którzy wciąż paru godzin stracili wszystko, co stracić mogli. Jednak nawet wówczas na dnie świadomości trwała myśl, że to jest jednak coś wyjątkowego, i że kiedyś, później, wszystko powróci do normy. Powróciło. Większość ludzi odzyskała swe domy, szyny cichego życia wytrysnęły w poprzednich kierunkach, a bezdomność zesła z pola naszego widzenia w ciemne kąty nędzy wyjątkowej, która jednak była, jest i chyba, niestety, zawsze będzie.

Całego znaczenia słowa „bezdomny” nie pojmują ludzie, którzy w określenie — dom — wkładają maksimum wrażeń i odczuwań jaknajcieplejszych i najbardziej swoich. Dla nich dom nie jest przecież prymitywnym schroniskiem przed zimnem, lub zmęczeniem, ale czemś, gdzie się koncentruje to najważniejsze, swoje własne, dla siebie tylko żyjące życie.

A jednak, pomimo hyperkultury człowieka i jego wzbogacenia pojęcia „domu”, potrzeba czy brak prostu dachu nad głową, schroniska przed zimnem

i zmęczeniem, jest i dziś, w 20-tym wieku, sprawą nie tylko aktualną, lecz palącą, jak ogień, sumienia bogatych, wielotysięcznych stolic.

Bo właśnie w wielkich miastach, pod arkadami wspaniałych mostów, obok pełnych wytworności i komfortu wnętrz — mieści się najwięcej bezdomnej nędzy.

Gdzie się ona jednak podziewa w zimne, pochmurne noce? Jaki jest los tych matek z małymi dziećmi na rękach, tych starych, zgarbionych kobiet, tego całego zastępu ludzi, przygnanych do miast pragnieniem zmiany losu, lub poszukiwaniem pracy, a teraz kulących się bezradnie, w nieprzytulnych wgłębieniach wysokich kamienic?

Na to wyczerpującą odpowiedź mogą dać tylko wnętrza domów noclegowych. Nie będę mówiła w tej chwili o historycznym, poniekąd, „Cyrku”, o którym krążą ponure, mrozące krew w żyłach, legendy, ale w myślach mi stoi szary, bardzo cichy dom, przy ul. Leszno 97, gdzie się mieści dom noclegowy dla kobiet.

Może jestem niesprawiedliwą, może stroną — ale bezdomność kobiet cięższym kamieniem kładzie mi się na piersi, niż bezdomność mężczyzn. Dla mężczyzny dom jest punktem, z którego wychodzi i do którego powraca, ale między temi dwoma punktami leży cała niesłychanie bogata gama możliwości życia i spraw, domowi temu najzupełniej obcych. Małżonkowie, przeważnie supłające się w drobiazgach, kobiece życie uważa dom za ośrodek istnienia i moralne dobro, za którym tęskni się nawet w wiele lat po jego utracie pośród obcości i zimna wszystkich domów innych ludzi.

Dom noclegowy przy ul. Leszno istnieje dopiero od dwóch lat. Dawniej mieścił się przy ul. Jagielloń-



Sypialnia „młodszych”.

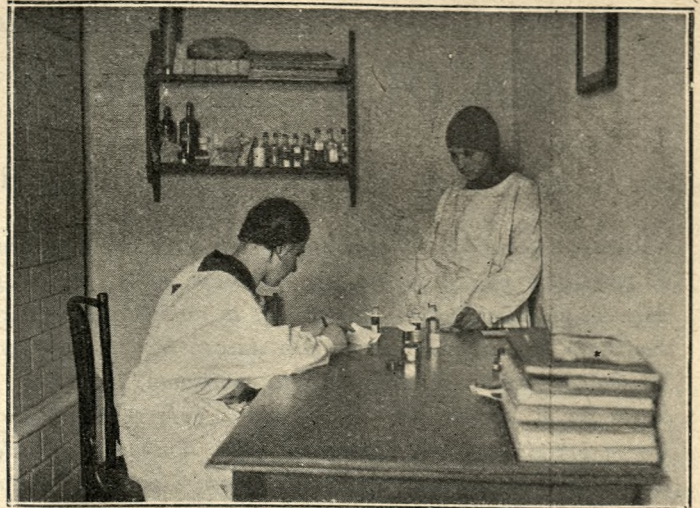
skiej, nawprost osławionego „Cyrku“, lecz to sąsiedztwo nie wychodziło mu na dobre: wieczne awantury i burdy, oraz brud moralny i fizyczny czyniły zeń istne piekło na ziemi. Obecnie, dzięki troskliwej i energicznej opiece p. Zofji Lelewelewowej, v. prezesa Tow. Pom. Ofiarom Wojny, oraz p. Szymańskiej, zarządzającej „Domem“, żyje on nowem, różnem od dawnego życiem, regulując starannie wszelkie odchylenia od raz wytkniętej linii.

I właśnie tam, w tych dużych, czystych, naprawdę bardzo czystych salach, odczuwa się tę wielką, zasadniczą różnicę między pojęciem domu, w ogólnie pojmowanym obecnie znaczeniu, a prymitywnem tylko schroniskiem człowieka.

Nie wiem, czy poza tego rodzaju instytucjami możnaby jeszcze znaleźć miejsce zamieszkania, równie bez „twarzy“. Choć nie, przepraszam—jest „twarz“, ale nie indywidualna, lecz jedna wielka, tragiczna maska—rezygnacja. Rezygnacja ta pada, jak cień, na nastrój wszystkich czterech sal, poczynawszy od sali staruszek-zebraczek, najsłabszej nędzy, gdzie przezwaznie kupa łachmanów zastępuje pościel, aż do sali tak zwanej „inteligencji“, gdzie często, bardzo często, na schludnej pościeli bieleje siwa głowa starej nauczycielki, która wiele pokoleń uczyła rzeczy pięknych i wzniosłych, aby na starość wpaść w otchłań nędzy.

Czyżby te wszystkie młode kobiety, którym jest teraz jasno i wesoło, które mają swój słoneczny dom, męża i dzieci,—nie mogły czasem pomyśleć o doli swych przyjaciółek dzieciństwa — nauczycielek i wszcząć jakąś akcję pomocniczą? Najwięcej boli zapomnienie niegdyś nadewszystko kochanych dziewczątek, więcej, niż twardy tapczan w domu noclegowym pośród, niedostatku i poniżenia.

Ogółem biorąc, miejsc jest 250, ale wielkiego przepełnienia niema, gdyż zarząd stara się, w miarę możliwości, o pracę dla swych pupilek, lub też wysła



Laboratorium. Wydawanie leków w apteczce Domu Noclegowego dla kobiet.

je na miejsce zamieszkania. Akcja to bardzo słuszną i „pożyteczną, [bo] odciążającą stolicę z elementu napływającego nędzy i wszelakiego włóczęgostwa.

Dla jednej tylko kategorii kobiet zamknięte są drzwi litościwego schroniska: dla prostytutek i pijacek.

— Chodzi o spokój wewnętrzny, ład i czystość— tłumaczy mi uprzejmie zarządzająca, pani Szymańska. Oczywiście, tą drogą „Dom“ stał się cichą i bezpieczną przystanią dla nieszczęśliwych kobiet wszystkich sfer; ale pomimo woli nasuwa się pytanie: a gdzie się podzieją te najnędzniejsze z nędznych? Jednak, jednak, „Dom“ postępuje słusznie, tak samo, jak nie przyjmując „zasadniczo“ matek z dziećmi. „Zasadniczo“, bo jest Opieka nad matką i dzieckiem, i bo na Jagiellońskiej dzieci umierały masami. Jednak dobre serce pani Szymańskiej nie odpędza nikogo od furty schroniska. Prześpi się zawsze gdzieś taka biedota, a potem, coś się zaradzi.

Natomiast „prawne“ lokatorki „Domu“ mają wiele kulturalnych wygód, od pralni poczynawszy, a skończywszy na lekarzu i lekarstwach darmo. Nie mają tylko jednego: „prawdziwości“ domu.

Ale to już jest nie do zdobycia. Zawsze wśród czterech ścian sali będzie panował smutek i opuszczenie chwilowego legowiska istot ludzkich, które wiedzą, że nie wolno im wziąć w serdeczne posiadanie tego kąta, w którym nic się do nich nie uśmiechnie, swojnością“ wnętrza.

Gdy odchodziłam, wszystkie cztery sale zasypiały już cicho, pod strażą białych porcelanowych posążków Matki Boskiej. Jedna tylko, ta „inteligentka“, modliła się jeszcze, śpiewając chórem w półmroku błękitnej lampki „Wszystkie nasze codzienne sprawy...“ Były to chyba sprawy smutne, najsmutniejsze, jakie tego dnia, i wszystkich innych, ofiarowywano Bogu.



Dom noclegowy: Sypialnia.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

SZKIEŁKA WRÓŻEBNE

R O B E R T

Twarz — przecięta kilkudziesięciu zmarszczkami, w bruzdach cała, jak owoc przedwcześnie na słońcu zawiędły.
Z podziwem patrzy się na nią, dumając, jakie losy tej głowie dłonie Sióstr uprzedły.
Ma coś staroświeckiego, nawet gdy w najmodniejszym zabłyśnie krawacie.
Spójrzcie, jak dziwnie stąpa, jak starczo trzyma ramiona. W tłumie najgęstszym zaraz go poznacie.
Chyba, że jest to Anglik, Bobby, sportsman, tennista — wówczas głowę i kark w górę trzyma,
kąpie się w wodzie jak lód, chodzi z gołą głową, kiedy szronem prószy zima;
bierze jakieś nagrody, puchary, wyścigi, konkursy, rekordy,
lub boksem najuczeńszym miażdży nosy i policzkuje zniekształcone — niegdyś twarze — dzisiaj mordy.

Osobiście wolę pierwszy typ Roberta. Radzę, by nauk ścisłych obrał wzniosłą drogę
i żenił się tylko z Wandą lub Moniką. Lecz i za te gwarancji żadnej dać nie mogę.

PIOTR

Prosty, wyraźny, kochany, trochę śmieszny,
w sam raz tyle, by być bardziej miłym,
chudy — wpada łatwo w melancholię,
lepiej dlań być choć trochę otyłym.
Choć podobny do Świętego Piotra —
dusza nawskroś odważna i szczerą —
nigdy, nawet w godzinie słabości,
swych przyjaciół Piotr się nie zapiera.
Łatwo łapie za miecz — jak apostoł —
to też nieraz nędznie ginie w małej zwadzie;
doskonały żołnierz i kolega,
zwykle smacznie zasypia na radzie.
Źle przemawia, zato krzyczy głośno,
ufa lada komu, łatwowierny;
rzadko kiedy zręczny w interesach,
ma w nich rozmach i zapal niezmierny.

Nie róbciż więc Piotra ministrem,
ani urzędnikiem, ani sędzią, raczej posłem,
zawsze będzie bowiem tylko dzieckiem,
choćby nawet najbardziej dorosłym.

LUDWIK

Jedno z nielicznych imion, które, niosąc ze sobą czystość,
nie czyni śmiesznym człowieka;
dobre przy Bierzmowaniu, jako dodatek,
gdy inne, czerwienie, krew wysusza jak spieka.
Daje łagodną pewność, rycerską pokorę
i dumę zakonnika;
trochę za wiele powagi,
której zbytek jednak wraz z młodością znika.
Ludwik nigdy nie bywa otyły,
dobrze jeździ konno, poluje mniej chętnie;
do społecznych zadań zdolny wielce,
na politykę spogląda obojętnie.
Szczęście ma w kupiectwie,
choćby nie handlował niczem, tylko drzewem, albo zbożem.
Chory bardzo, odzyskuje zdrowie,
gdy w daleką podróż jedzie morzem.

Wcześnie winien się ożenić z wdową, młodą jak on sam,
i dzieci mieć kilkanaścioro,
i umrzeć wśród wnuków niezliczonych
jesienną, owocową, cichą porą.

JACEK

Nie trzeba Jacka pieścić, sam sobie daje radę,
będzie miał w życiu wszystko — i chleb, i czekoladę.
Nie trzeba mu przeszkadzać, jak czynią ucząc różni,
on sam najlepszą drogę wybierze i wyróżni.
Jak osot na kamieniu, gdzie róże więdną żałośnie,
tak Jacek, wbrew spodziewaniu, zasieje się i wyrośnie;
w ciasnoci i ciemności, gdy zajdzie tego potrzeba,
Jacek, jak dąb na słońcu, urośnie aż do nieba.

A im mniej opieki zazna, a więcej obojętności,
tem silną niezrozumiałą wystrzeli mocniej i prościej.

KRAKÓW I WARSZAWA W 1813 ROKU

Po klęsce lipskiej zaludniło się towarzystwo warszawskie coraz więcej przybywającymi z Prus i Saksonji polskimi jeńcami, którzy wszyscy z rozkazu cesarza Aleksandra bez wyjątku w Warszawie i w Księstwie Warszawskim na słowo puszczeni byli. Wielu oficerów ze sztabu Księcia Józefa, przy jego boku pojmanych, i niektórzy ranni, co w Lipsku i Dreźnie pozostali, składali ten poczet smutnych rodaków, którzy dalej z wojskiem za swemi chorągwiami iść nie mogli. Przyjęła ich Warszawa ze współczuciem, nieszczęściu należnem. Dwóch tylko, wcale odmiennie uważanych, nader ozięble witano, w Lipsku albowiem runęły dwie reputacje, dotąd bez skazy, teraz zaś bardzo zwichnięte.

Generał Aleksander Roźniecki i pułkownik Józef Rautenstrauch, wróciwszy z Lipska, byli nader złym rozgłosem o swych tam czynnościach poprzedzeni, ażeby od kogokolwiek dobrego przyjęcia spodziewać się mogli. Mówiono powszechnie, że jeden z nich był znaleziony po lipskiej bitwie, w piwnicy pomiędzy beczkami ukryty, drugi zaś — w sianie pod strychem, bo żaden udziału w bitwie wziąć nie chciał. Nie zaręczam za prawdę tyle ich krzywdzących twierdzeń, pamiętam tylko to dobrze, ile mi za złe wzięto, gdy się generał Roźniecki jednego wieczora, we środę, na prefekturze ukazał. Niedługo jednak pomiarkowali obydwaj, jak są źle widziani i pozostali w odosobnieniu czas niemały; aż później, szczególną łaską w. ks. Konstantego ośmieleni, wrócili z nowem, a niepospolicie o sobie beczelnem zarozumieniem wśród towarzystwa, które ich z łona swego słusznie wyrzuciło, o czem dalsze tych oficerów postępowanie aż nadto nas przekonywa.

Teraz streszczę obraz osób ówczesnego rządu rosyjsko-polskiego i tych, co warszawskie towarzystwo składali w końcu 1813 r., gdy po dziesięciomiesięcznem oddaleniu się do niego wróciła.

Pan Łanskoj, człowiek już w wieku, miał powierzchowność mało znaczącego dworaka; grzeczny, uprzejmy z kobietami, posuwał to obejście się nawet do mężczyzn mu podwładnych, co w Rosjaninie nader rzadkiem bywa. O zdolnościach jego do rządzenia krajem tyle tylko powiedzieć mogę, że pan Łanskoj był tak, jak i wszyscy jego współrodacy, posłusznym narzędziem, samowolne rozkazy ślepo i uniżenie wykonywującym. Słodki i łagodny w owej epoce, byłby niezawodnie dokuczliwym, a nawet i okrutnym teraz, gdyby mu takim być rozkazano. Zona jego, zupełne ze wszech względów zero, była jednak gościnniejszą i grzeczniejszą, niż jej współrodaczki, któreśmy później na tym wysokim stopniu

widzieli. Rodzina Łanskojów składała się z kilku córek, z których starsza, Anna, później za księciem Golicynem zaślubiona, równie dowcipną, jak przyjemną osobą była; jej ukształcenie i przyjemna wesołość wielu zwolenników domowi Generał-gubernatora, jak go tytułowano, dodawała.

Pan Nowosilcow, później ów postrach Litwy, ów prześladowca tego, co tylko imię „Polska“ nosiło, był w owym czasie najukładniejszym i najgrzeczniejszym dworakiem, któregośmy wtedy w zwykłej naszej dobroduszości za najliberalniej wykonywującego rozkazy Aleksandra I-go, w duchu pobratania i zespolenia obydwóch narodów, uważali.

Nowosilcow, drugi członek Rządu Tymczasowego, miał postać nieprzyjemną. Włosy już siwe, lecz wcale zwykłego dla ich barwy szacunku nie wzbudzające, oczy duże, wypukłe, przez wyraz swój i błądy koloryt nieco oczy hieny przypominające. Był on słuszny, może kiedyś przystojny, uczony, dowcipny, wszelką rozmowę żywo utrzymujący i wmieszaniem się do niej nader ją ożywiający; ale chytry, bez żadnego szlachetnego uczucia, tak, jak każdy, co z nad Newy na Wisły wybrzeża przewieziony, mścił się poniżenia swych przodków na następnych pokoleniach naszych do Polski przybywa.

Godną uwagi rzeczą jest to, że obydwaj ci panowie pochodzeniem z polskich rodzin się szczycili. Pan Łanskoj utrzymywał, że pierwszym szczepem jego rodziny był Franciszek Łacki, przed pięciu wiekami do Rosji przesiedlony, imię zaś jego miało być dowodem, że był katolikiem, a więc polakiem, bo Kościół Grecki żadnego Franciszka między swymi świętymi nie liczy. Pan Nowosilcow wywodził ród swój od rodziny Nowosielskich, których portrety, jak mi to nieraz wspominał, dotąd dwór jego ojcowski w jakiejś dalekiej gubernji rosyjskiej zdobią.

Pan Tomasz Wawrzecki mało mi był znany, nie mogę więc o nim dać dokładnego wyobrażenia. Był to człowiek wysoki, silnej budowy, czerwony na twarzy, ale polskiego usposobienia, a zatem ani układny i słodki, jak Łanskoj, ani subtelny i chytry, jak Nowosilcow. Zawsze jednak mówiono, że wybór jego na naczelnika narodu po upadku Kościuszki dziwnie niestosownym być musiał.

Książę Ksawery Lubecki w owym Tymczasowym Rządzie zastępował miejsce ministra spraw wewnętrznych. Któż z nas później nie zdołał go poznać i ocenić? Jego wielkie zdolności, jasne pojęcie i zdolność przewodniczenia tak trudnym wtedy urzędowaniom, aż nadto później się rozwinęły. Książę Lubecki był to polski medal, na moskiewską szepę

przybity. Gorliwy zwolennik swego rządu, nieograniczonem zaufaniem obydwóch po sobie następujących cesarzy zaszczytany, służył im wiernie i z zupełnem poświęceniem.

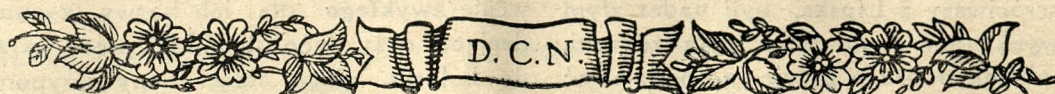
Wszyscy ci panowie, rząd ten składający, zaszczytali dość często mój salon swoją bytnością, miałam więc dostateczną sposobność "poznania ich dokładnie i zaręczyć mogę, że pomimo przedawnienia tych wspomnień, wiernie je czytelnikom swoim przedstawiłam. Rząd ten, ustanowiony w marcu 1813 r. trwał aż do końca r. 1815, aż go namiestnictwem generała Zajączka, pod bezpośrednią inspekcją w. ks. Konstantego, zastąpiono.

Co się zaś tyczy fizjognomji owoczesnej warszawskiej, zaczynaliśmy, niestety, poznawać dwuznaczne powołanie i fałszywe położenie wielu osób, to niegdyś tak swobodne, szczerze się wysławiające, to niczem jeszcze nieskrępowane towarzystwo składających.

Domy Łanskojów, Swieczynów, Lewickich, Wojewódzkich stanowiły przed przybyciem feldmarszałka Barclay de Tolly'ego całe rosyjskie towarzystwo.

Pan Swieczyn był pierwszym policmajstrem w Warszawie i zostawił po sobie życzenie, ażeby jego zastępcy grzeczność i łagodność, wtenczas mu przepisane, po nim odziedziczyli. Żona jego, z domu Bisping, z Litwy, i jej siostra grały role wielkich partrjotek, nie tańczyły na wieczorach, nienawidziły Rosji i rosjanów, etc., etc., chociaż, jak to czasem bywa, w pięknem mieszkaniu, które w pałacu Dyźmańskich zajmowały, i w dostatkach, którei je mąż i szwagier otaczali, niemało przyjemności znajdowały i wcale tego nie zaprzeczały.

Lewicki, komendant Warszawy, i jego ogromnie otyła żona chcieli dom swój na europejską stopę postawić. Pierwszy wieczór, u nich dany, w owym pałacu pani Podolskiej, teraz Wernera, niezbyt dawno jeszcze francuskiej załotności siedlisku, bo przez Ludwika XVIII zajmowanym,—tyle nagromadził śmieszności, pomimo szczerzej chęci gospodarstwa w przyjęciu swych gości, żeśmy go potem długo pamiętali, i dotąd jeszcze wspomnienie jego wyobraźni się mojej uśmiecha.



M. H. SZPYRKÓWNA

6

PRZYGODY BŁĘKITNYCH MOŻLIWOŚCI

Poczem zamyśliła się. Chciała wyrazić co innego, ale nie знаła ścisłego słowa na pojęcie: opuścić ziemię. „Country”—znaczyło—„kraj”. „Nie potrzebuję tego—dziś opuszczam ten kraj”!

A może to i lepiej? Może słowa: „opuszczam tę ziemię”—byłyby niesmacznym patosem?... W klubie niedawno zdarzył się wypadek, że do łazienki weszła niewiadoma, przyzwolicie ubrana panienka, położyła się ubrana na wznak i utopiła... w wannie. W kartce poprostu napisała: „Ellen Mac-Lee, bezrobotna”.

Była przykreść, i łazienka czas jakiś trąciła dramatem. Ale wieleż w tem było prostoty i rezygnacji! A jednak owa Ellen była przecież w swoim kraju, znała doskonale język, mogłaby próbować jeszcze. Cóż zatem mówić o emigrantkach? Dwa—trzy dni za te dwa—trzy gałganki, któreby sprzedała, ewentualnie, nawet zachłannej Dorothy? A potem co?... Co? Co?

Włożyła kartkę rozważnie na wierzch walizy, do niej przypięła ostatnie dwa dolary za pokój, a zostawiwszy pięćdziesiąt centów na jutrzejszy dzień, zamknęła z westchnieniem ulgi walizkę, jeszcze z Kutna. Postanowienie już dojrzało, niezłomne i niczem

nieodwrócone. Spaliła za sobą mosty. W pulsach biła jej młotami gorąca krew i głowa płonęła na zimno, jak zorza polarna. Nie zostawiała za sobą nikogo i nic—nawet żalu. Tem lepiej. W słonych łzach, jak mdła ostryga, stopniałaby potrzebna do śmierci oschłość. Do śmierci?... Wzruszyła ramionami. Na to było dziewięć dziesiątych szans. Ale wykonywała zawsze każdą pracę aż do końca; i teraz, przed śmiercią postanowiła rzucić jeszcze ostatnią stawkę. Na nią, już nie miała dolarów, ale rzucała zato jedyny wypłacalny weksel szulera: życie.

Zamknawszy walizę, pomyślała chwilę—i oknem wyrzuciła daleko przed siebie, na dachy, maleńki klucz. Nie leciał zapewne nigdy aż ośmnastu pięt, i mógł popaść w złudzenie, że jest, właściwie, ptakiem. Potem zamknęła okno, powiesiła do szafy pozostawioną na jutro ulubioną sukienkę koloru zgaszonego płomienia i takiż żakiet—i skropiła to ostatniemi kroplami krajowego jeszcze „l'Origan”. Subtelny, śliczny zapach, zapach wykwentu, napełnił powietrze. Poczem zdjęła wszystko, co miała na sobie, zwinęła w paczkę i włożywszy po raz pierwszy bez żenady szlafroczek kąpielowy Dorothy (która zawsze swo-

bodnie używała zato jej rzeczy)—udała się do łazienki. Siedziała w wannie, pachnącej wonnem mydłem, z oczyma zamkniętymi i uczuciem takiego błogostanu, że przez chwilę mignęła jej pokusa, czyby nie lepiej istotnie, jak tamta Ellen, dziś, teraz, odrazu?.. Ale przed zamkniętymi powiekami zabłąkitniała nagle daleka perspektywa, nasiana złotem słońca, a na niej jakiś punkt oparcia dla tonących w niebieskim oczu. Dopiero po chwili analizy poznała, że był to skwer nad oceanem i postać amerykanina, który jutro miał tam być znowu o pierwszej. Nieznanego człowieka, od którego zawisł oto, bez jego wiedzy i woli, los dziewczyny z migdałowemi oczyma, patrzącemi słodko w śmierć.

* * *

Ranek dnia ostatniego należało wyzyskać najobszerniej, i młoda emigrantka wstała wcześniej, ażeby zdążyć pożegnać się na wszelki wypadek — z marzeniami. Marzenia te były szczególnie nowoczesne, skompilowane z żelbetonowych kamienic i stali pociągów napowietrznych, z potęg giełdy i wielkiego biznesu, huczących miljonem motorów po faktorjach śródmieścia — a w to wszystko zamieszane było ponadto cudowne słońce parków, zbyt pięknych, aby się z nimi rozstać bez pożegnania było można — łagodne oczy saren po zacięniach podręcznych rezerwatów i niewidziane zwierzęta w menażerjach uczęszczanych miejsc. Dookoła zapalanej głowy entuzjastki-prawniczki wiewała niejako atmosfera wielkich możliwości, które mijała oto, nie mogąc ich się chwycić. Jak należało to uczynić?.. Może — trzeba było rzucić się pod przejeżdżający samochód dziwaka-miljonera, któryby jej zapłacił odszkodowanie w wielkich tysiącach? Możeby przejść pieszo do Mekki wszystkich młodych dziewcząt — do sławnego Hollywood — i tam zostać nagle zbiegiem dziwnych wypadków, gwiazdą filmową i ukazać się w tysiącu twarzy zdumionym oczom świata? Może — dostać się na sprzedawczkę gazet do nocnej restauracji, albo być porwaną przez bandytów?.. A może — i to najpewniej — uczyć się trykotażu w domu, co dawało mierny, ale pewny zarobek, ale na co, niestety! trzeba było maszyny i dolarów na jej zakupno?..

Ubrała się uważnie i niejako odświeżnie. Z rozkoszą weszła w świeżą, ciekłą bieliznę, starannie się upudrowała resztkami wonnego, jak obłok, wytchnięty przez perfumerję, pyłku; obciągnęła z przyjemnością ładne jedwabne pończoszki i odświeżyła krokodylowe pantofelki odpowiednim specyfikiem. Kiedy już była w sukni i tegoż koloru płaszczu, długo i starannie spuszczała woaletkę na małym kapelusiku tak, żeby odpowiednio osłaniała oczy — nie zanadto, ale właśnie w tajemniczy półcień, skąd szczególnie wielkie i jakgdyby mokre, patrzyły źrenice. Poczem wykropliła na rękawiczkę ostatnie lotne tchnienie l'Origanu, i — nie oglądając się za siebie, opuściła pokój. Ożywionej Dorothy tego wieczora nikt już nie miał płoszyć fi-

glarnych nastrojów oziębłą poprawnością zachowania i bladą twarzą, o oczach wyczekującej Madonny.

Walizka z Kutna sama jedna została na krześle, zapakowana i zamknięta, jakgdyby również gotowa do odjazdu, czekająca rozwoju wypadków.

* * *

Okrążywszy wszystkie miejsca skoncentrowanych niegdyś nadziei, Roma koło dwunastej stała na peronie górnej kolei, prowadzącej daleko poza kręgi miasta, w bardzo piękne parki. Szalony smok pociągu już nadlatywał z łoskotem, rozsadzającym mózg. Sto drzewiczek naraz się rozwarło, jak paszcze, i zaczęło wypływać tłum ludzi, wywijający się bez końca, jak kolorowa bibuła z czapki czarodzieja na scenie. Inne setki ciekły zato do wewnątrz. Sto drzewiczek się zatrzasnęło naraz — i poderwawszy się nagłym pędem z miejsca, pociąg runął przed siebie wątlą linijką szyn, rzuconych w powietrze, poprzez które migało głęboko na dole mrowie ludzi i żuki aut.

Zamknęła oczy i skupiła myśl. Bardziej szalonej jazdy nie знаła, i wątpliwe zresztą, czy taka istniała. Pociąg rwał przez olbrzymie przestrzenie, mijając stacyjki, jak przydrożne słupy, z furją nie do pojęcia, a rozkoszną, jak upajająca śmierć. Przecznicę ulic na dole łyskały krótko, jak paski rzuconej nisko płachty, szczyty domów uciekały w dzikim popłochu, przestrzeń świszczała i wyła. Zdawało się, że ten wystrzelony z armaty piekła pocisk wyleci samym pędem w powietrze i, tnąc je i siepiąc naoslep, nie zaryje się aż w kamienisty grunt księżycy. Najmniejsza barjerka, bodaj złudzenie pewności, nie ogradzała szyn bokami: wprost pod oknem ziała przepaść ulicy. I na zakrętach, kiedy w nagłym przegubie wszystko leciało znienacka w jedną stronę, w bok — mrowie słodkiej i okrutnej rozkoszy ścinało lodem dech: silniejszego wrażenia i bardziej niematerialnych dreszczów można szukać długo i bodaj, że nie znaleźć.

Taką przyjemność młoda urzędniczka robiła sobie parę razy, w chwilach zdenerwowania — zawsze z niezawodnym skutkiem: pęd ten, jako najsilniejszy, wycieśniał wszelkie inne wrażenia, a zostawiał pustkę i uspokojenie — znakomitą namiastkę przyjemności. Teraz chwila była odpowiednia na wyjałowienie duszy z wszelkich wrażeń — na zapełnienie jej niejako skoncentrowaną próżnią, w której tem mocniej mogło się wyakcentować jedno postanowienie. Miała ich wprawdzie dwa — ale nieodwołalne i jedno na miejsce drugiego — wraze zawodu. Prawie jednolitość. Toteż, wysiadając po g odzinie z ekspresu zpowrotem, po połknięciu owych zawrotnych kilometrów jednym poświęceniem szyn, czuła się już zupełnie skoncentrowana, zrównowazona i zdecydowana na ten dwoisty krok.

* * *

Główną troską najprzód było — uniknięcie niemca. Przy nim nic zdziałaćby nie mogła — tego jednego

była pewna. Nikt nie śmiał rozpraszać sieci woli, jaką niewidzialnie trzymała w pogotowiu, aby zarzucić na ową—raz tylko widzianą—męską głowę o oczach, niewidzących kobiety! Mógł nadejść tylko od strony Broadwayu — tak mówił. Stała przed wejściem do akwarjum, oglądając afisze. Ławka, na której wtedy siedzieli, była pusta; na drugiej robotnik jadł, czytając gazetę. Może zresztą bezrobotny? Wieleż razy tak samo zjadała tu śniadanie — banana z chlebem i sandwiczem!

Nagle serce jej stanęło: aleją nad wodą szedł Niemiec. Obejrzał się po skwerze, pobujał laską i usiadł na pustej ławce o kilkanaście kroków przed nią, obrócony plecami. Ulica i jej wylot, z którego miał nadejść Amerykanin, były za nim. Oczy paniąki wbiły się w ciemną czeluść, zatarasowując jej wyjście nieugiętą wolą, jak sztabą z żelaza.

I oto wtem ujrzała go prawie przed sobą, nadszedzione blisko. Jak to się stało? Nie było czasu dociekać. Przechodził ulicę wprost ku niej, bo tam zresztą tablica nakazywała przechodzenie dla pieszych.

Oderwała się od ściany akwarjum i, uczyniwszy trzy kroki, zatarasowała mu przejście zupełnie tak samo, jak oczami—wylot ulicy przed chwilą. Zatrzymał się sekundę, zdziwiony, już usuwając się na bok, ale mimocłotem spojrzawszy na nią—i wówczas zdziwił się naprawdę nagłym przypomnieniem: poznał. Natychmiast twarz ścięła mu w chłodną i mało uprzejmą maskę, która nieznaczliwie wyczekiwała.

Chwyciła szybko powietrze, bo czuła, jak krew ucieka jej z twarzy i w oczach się ćmi. Zebrała całą wolę. Teraz, albo w przyszłym życiu! Opanowała głos i ruchy: przypominała wszystkie nauki postępowej psychologii amerykańskiej. Vae victis! Zwyciężonym biada! A zatem, musiała zwyciężyć.

Uchylił kapelusza w miarę zimno i rzekł głosem wyczekującym:

— Przypuszczam, że się pani pomyliła?..

— Nie. Przeciwnie, czekam tu właśnie na pana. Czekam od półgodziny.

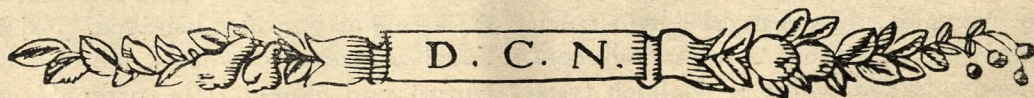
— Na mnie?... Zdaje się, nie miałem sposobności... Pozatem, śpieszę się...

Złożyła błagalnie ręce z tak nagłym, tak prawdziwym wybuchem namiętej prośby, że mimowoli wstrzymał gotowy już do odejścia krok.

— Proszę pana!.. błagam pana, niech pan obejdzie ze mną ten krąg, zanim... To nie jest awantura, to jest—to jest to, co u nas się nazywa: amerykański sposób! Innego nie mam, jestem cudzoziemką! Muszę postawić wszystko na kartę, wszystko, co mam, bo inaczej nigdy więcej mieć nie będę! A chcę mieć więcej, muszę! Muszę mieć więcej! Inaczej, i czemżeby się różniła Ameryka od Europy? Inaczej i pocóż była ta cała męka, ten cały los?!

— Musi pani mieć więcej... A wiele pani ma?..

Otworzyła portmonetkę i wyjęła pięćdziesiąt centów i obrączkę. W oczach marynarza zaśniło krótkie światelko, a ładne usta zlekka się wygięły.



W. MIŁASZEWSKA

35

KACZĘTA

(powieść)

Wszystkiemu temu przysłuchiwała się wędliniarka z ogromnego portretu. Przyszło mi raptem na myśl, czy nie zaświerzbialaby ją ręka (a miała pono ciężką!) żeby to całe grono rozbawionych gości nauczyć manners dla swojej byłej masarni, która dostarczyła tyle pieniędzy na zbytki?!

A teraz państwo Tomaszowstwo Łebkowscy wyjechali w podróż poślubną do Zakopanego. Herminika chciała dalej, zagranicę, ale Tomasz ma pilne interesy w Warszawie. Wróć za jakiś tydzień. I tak się trochę krzywił, że tyle czasu będzie zdala od swego nowozałożonego przedsiębiorstwa, które potrzebuje czujnego oka i żelaznej ręki.

Zdaje się, że już wkrótce będzie miał ten własny samochód. A później może pałacyk wybuduje, albo majątek kupi? Chociaż to chyba nie. W Kopytowiu Amelka bar 'zo na ciężkie czasy jeczy, a Tomasz powiada, że pieniądze w ziemię włożyć łatwo — ale wydobyć trudno. On ma inne kombinacje: chodzi na giełdę, gdzie podobno w pięć minut z jednego miliona można zrobić dwa, a z dwóch — cztery. Nie znam się na tych rzeczach, ale myślę, że gdzie zbyt łatwy zarobek, tam i strata pewniejsza. Przecież na świecie niema za darmo nic, a jeszcze takich pieniędzy!

Staś nie był na ślubie brata, przysłał tylko telegram z Krakowa, że przyjechać nie może, więc Pań-

stwu Młodym życzy zdrowia, szczęścia, pomyślności i wszystkiego, co się w takim wypadku wymienia.

Ciekawam, co on tam robi? Wiem tylko, że jeździ z miejsca na miejsce, raz jest na Śląsku, to znów w Krakowie, — listy mi z różnych miast i miasteczek przysyła, stąd wiem — bo nic więcej o sobie nie wspomina, tylko że zdrow i znalazł pracę, która mu daje zadowolenie.

Adelka chodzi teraz na dancingi ze swym Mąsje Żak i często wraca nad ranem.

Bo mamy teraz w Warszawie takie „dancingi”, które cudzoziemcy przywieźli z zagranicy, a teraz wszystkich uczą, jak się nowe tańce tańczy. Młode panny chodzą tam same, bez matek, ciotek i różnych opiekunów... Podobno to się na zachodzie praktykuje: panna bierze swego tancerza pod ramię — i wychodzi z domu na cały wieczór... Tak i Adelcia robi. Ten pan Duprerie coraz bardziej jej nadskakuje; już i do teatru chodzą razem — i do kina, ale że Teofil nic na to wszystko nie mówi, więc i ja milczę.

Teofil przekomarza się czasem z Adelcią; powiada, że choćby ona została panią ataszową militerową, to jeszcze niewiadomo, czy w Polsce będą takie wielkie ambasady dla jasnie wielmożnej „kåtessy”.

Może i na tem się skończy. Może Adelka wyjdzie za swego francuza... W każdym razie lepiej tak, niż gdyby się to miało skończyć inaczej.

A wiem, co mówię, bo na własne oczy widziałam, jak się w przedpokoju całowali — i to może z pięć minut...

Ale milczę; udaję, że nie wiem, nie rozumiem, nie widzę...

Tylko czasu mam o wiele za dużo i to może najgorsze ze wszystkiego. Przez to całymi godzinami przesiaduję u Marka, w jego dziecinnyim pokoiku. Sama tam kurze ścieram, sprzątam, sama wymiatam podłogę i firanki świeżo zakładam, gdy się przybrudzą. Wydobywam z komody stopy jego rysunków i kasetów szkolnych i książek. Grzebię w tem wszystkiem, przeglądam, a każdy skrawek papieru przypomina mi coś z przeszłości...

Zamykam wtedy oczy i widzę swoje dzieciaki drogie, siedzące przy okrągłym stole, pod lampą. Tomek gra z ojcem w „sześćdziesiąt sześć”, albo w warcaby — na pieniądze. Staś wertuje jakieś pamiętniki z czasów powstania i wojen napoleońskich. Może już wtedy pod jasną czupryną świeciło, jak oswobodzić Polskę od najeźdźców? Adelka wyszywa nową serwetkę i rieszę, albo zakręca włosy na papilotach, żeby się na jutro loki skrzyły.

Lampa syczy — naftowa lampa, którą ktoś stale oskarżał, że znów filuje... Tylko Marek, mój Marek

nigdy na nią nie narzekał. Mówił, że w lampie naftowej światło żyje, że płomyk się porusza, oddycha, a elektryczna — to mały, zimny trupek w szklanej trumience.

Gdzie jesteś teraz, Marku? Ach, tam, gdzie Światło Wiekuiste jest również wiecznie żywe...

3 marca.

Więc to prawda? Zdecydowałam się tak jakoś nagle, że jeszcze sama nie wierzę...

A to było poprostu tak: w końcu lutego Staś do Warszawy przyjechał na kilka dni. Przyszedł niespodziewanie; nikogo w domu nie było, nawet Walerka wyszła na miasto.

Siedziałam nad cerowaniem pończoch Adelki, — bo ona tego nie cierpi sama robić, — gdy nagle słyszę... ależ tak! Całkiem wyraźnie słyszę Stasiowe „kusztyk — kuszytyk” po schodach. Skoczyłam do drzwi — on już miał rękę na dzwonku. Nie wchodząc nawet do mieszkania, chwycił mnie w ramiona, ucałował w oba policzki, potem w ręce, potem znów w oba policzki:

— Ciociu! — zawołał potem — czy dostanę coś do zjedzenia?

Boże kochany, Staś! Mój dawny Staś! Jakbym go wtedy widziała, w listopadzie, za Niemców!

Zakrzętnęłam się koło herbaty, a on tymczasem poszedł umyć ręce w moim pokoju, bo strasznie był brudny: z dworca prosto przyjechał. Usiadł potem w jadalni i przypatrywał mi się zdaleka:

— Przymizerniała ciocia! — rzekł nagle — Czy ciocia była chora?

— Nie, skądże!... Zdrowia, na szczęście, Pan Bóg mi jeszcze nie poskąpił...

— No, to chyba ciocię coś trapi. Miała ciocia jakie zmartwienie?

— Et, nowego to nie...

Umilkł, a potem zaczął wypytywać o wszystkich. Gdzie ojciec? Kiedy Tomkowie wrócili? Jak tam u nich? Czy to prawda, że Adelka cały karnawał przetańczyła, a teraz się, podobno, za cudzoziemca?..

Opowiedziałam potrosze to i owo... i jakoś mię poniosło. Wygarnęłam Stasiowi całą prawdę: że Adelcia tylko zabawę ma w głowie, i gorzej, bo się robi zupełnie do tych panien podobna, co o nich mówią niedobre rzeczy; że Herminka na płuca niedomaga, kaszle i chyba całymi dniami płacze, bo ma wciąż oczy zapuchnięte; że Tomek we własnym domu gościem bywa: po tygodniu, albo i więcej, siedzi niby to w Białymstoku, czy Łodzi, — a właściwie Bóg raczy wiedzieć, gdzie się obraca, i żona pewnie różnych jego sprawek zaczyna się domyslać; że Teofil złorzeczy na rząd, że obaj z Tomkiem podobno ogromne pieniądze robią na akcjach, że wogóle... (c. d. n.)



Z ŻYCIA EKRANU

(Filmy wojenne — Pacyfizm filmowy. — „Tajemnica powodzenia”).

Pierwsza seria filmów, t. zw. „wojennych”, powstała w pierwszych latach po zakończeniu wielkiej wojny. Wtedy jednakże nie było jeszcze dostatecznej perspektywy czasu, ażeby temat ten pogłębić i wydobyć zeń walory artystyczne, a nawet — ideowe. Wojna była tam tylko pewnym nowym „motywy”, wprowadzanym zresztą do tych samych ram przeciętnej, banalnej bajeczki. Bohater, naprz., zamiast jechać na Daleki Zachód (były to przeważnie filmy amerykańskie), zaciągał się do wojska i walczył we Francji, a bohaterka była najczęściej siostrą Czerwonego Krzyża. Wplatało się do tego kilka scen z okopów, ze szpitala, i film wojenny — wówczas bardzo modny — był gotów. W tym okresie tylko Abel Gance w „J'accuse” potrafił zdobyć się na coś, co było tem w kinie, czem był „Ogień” Barbusse’a w literaturze: był to pierwszy protest przeciwko masowej rzezi, chęć wstrząśnięcia ludzkimi sumieniami przy pomocy artystycznej wizji.

Dzisiejsze filmy wojenne, których wciagu ostatniego sezonu widzieliśmy nową serję, będąc w tendencji swej tym samym protestem, tylko po stokroć silniejszym — są jednak przedewszystkiem sztuką kinową, umiejacą własnymi środkami wyrazić to, do czego Gance musiał jeszcze użyć pomocy... literatury. Najwyżej pod tym względem stoi „Wielka Parada” (reż. King Vidor) i „Świat w płomieniach” (reż. Roul Walsh). W jednym i drugim filmie reżyser i scenarzysta dają tylko „przekroje” wojny w różnych płaszczyznach; wyciąganie wniosków pozostawiają widzowi, któremu nic gwałtem nie narzucają, ani nie sugerują napisami. Że wnioski te wypadają, mimo to, tak, jak to było życzeniem twórców — tem większą jest ich sztuka. Sądzę, że takie filmy, jak „Wielka Parada” i „Świat w płomieniach” mogą więcej zrobić dla pacyfikacji świata, niż... Liga Narodów. Dowodem, że propaganda ta zatacza coraz szersze kręgi, może być ostatnio wyświetlany film, p. t. „Drut kolczasty”. Tu już chodzi nietylko o pokazanie piekła, jakim jest wojna, ale — o zabicie jadu, który osiada w sercach ludzkich, jak rdza na drucie kolczastym, odgradzającym ciągle jeszcze „wczorajszych” wrogów, choć już dawno przestał odgradzać ich ziemię. Pierwszy to raz widzimy na filmie obóz jeńców wojennych i konflikty, wypływające z walki między patriotyzmem, który umie dojść do okrucieństwa, a „grzechem”, mającym wszelkie znamiona człowieczeństwa. Film ten, w którym Pola Negri znów stworzyła pierwszorzędną kreację, byłby znacznie lepszy i więcej przekonujący, gdyby reżyser (Rowland van Lee) umiał jego tendencję wyrazić środkami kinowymi, a to mu się nie zawsze udaje. Zwłaszcza zakończenie filmu tyradą powracającego z niewoli francuza — jest już zbyt ułatwie-

niem sobie zadania. Mimo to film posiada parę scen pięknych i ładnie rozwiązanych filmowo, naprz., kiedy rodacy potępiają Ninon, a Niemcy odkrywają przed nią głowy — przejście wśród pogroźek i hołdu jest dla niej jednakową Golgotą.

Od typu filmów wojennych o tendencji pacyfistycznej odbiega „Największa parada świata”. „Braterstwo ludów” nie obchodzi tu ani scenarzysty, ani reżysera. Pokazuje się i tu piekło wojny, ale uważa je raczej za „zło konieczne”. Punkt ciężkości przeniesiony jest na stan duchowy człowieka, w którym każdy nerw buntuje się przeciwko pójściu na przeciw śmierci i którego chęć życia silniejsza jest od wskazań obowiązku i honoru. Dopiero taki wstrząs, jak widok zabitego przez wroga towarzysza, zabija w nim instynkt samozachowawczy i budzi szaleńczą odwagę, której konsekwencją jest wypędzenie wroga z zasadzki. Powiedziećbym, że takie rozwiązanie jest raczej niemoralne, bo, apoteozując bohaterstwo, którego motorem jest tylko zemsta, podsyca instynkty, które w tłumie i tak są dość silne. Natomiast strona kinowa w wielu scenach stoi na wysokim poziomie i wprowadza kilka dobrze zrobionych, nowych i niewyżytkanych jeszcze warjantów do filmu wojennego (szturm tanków, zdobywanie kościoła).

Jak daleko zabrnął już filmowy pacyfizm, możemy przekonać się choćby na „Napoleonie”. Bojąc się,



„Wielki Doug”

że apoteoza „boga wojny” nie znajdzie dziś oddźwięku w szerokich masach, Gance — przepojony przecież do najdrobniejszej kropli krwi pietyzmem dla napoleońskiej legendy — nie waha się zrobić z wielkiego cesarza — apostoła „braterstwa ludów”, które, rzekomo, miało być ostatecznym celem prowadzonych przezeń wojen (scena wizji w Konwencie).

Jakże dalekim od tego rodzaju zagadnień jest wielki Doug — człowiek z bajki! Czy to będzie Anglia średniowieczna, czy Kalifornja XIX w., czy fantastyczny Wschód — zawsze jest to tylko bajka, a Doug — w przeciwieństwie do tysiąca bohaterów „nieznanych”, których stwarza współczesność — jest zawsze bohaterem jedynym, niedoścignionym i bezkonkurencyjnym w męstwie, cnotach rycerskich i miłości. Co, właściwie, jest tym magnesem, ściągającym tłumy na filmy z Doug’iem? co wpływa na to, że na widowni widzi się tyle rozradowanych twarzy, nawet ludzi starszych i zblazowanych, nieskorych do entuzjazmu? Scenariusze tych filmów są przecież podobne do tysiąca innych amerykańskich, zespół aktorski dobrze zgrany, reżyserja staranna, fotografja doskonała, — ale to wszystko utrzymane w ramach zawsze tej samej normy, bez żadnych rewelacyjnych odkryć w dziedzinie wizualności (jedynie „Złodziej z Bagdadu” daje trochę stylizacji i kombinacji technicznych). Otóż mam wrażenie, że ta „tajemnica powodzenia” filmów Doug’a tkwi w jego osobistym uroku. Z chwilą ukazania się na ekranie — porywa widza w wir ruchu, pobudza w nim chęć wykonania rzeczy niezwykłych, wmawia weń, że prawo ciężenia nie istnieje i że dość jest czegoś chcieć, ażeby móc. Patrzenie na Doug’a jest prysznicem młodości, radości i życiowego rozmachu. Dlatego jego filmy nie starzeją się i nie nudzą, tak jak nie nudzi się corok powtarzająca się wiosna.

Czem jest brak prawdy historycznej, czy stylowej („Człowiek z biczem”) wobec nieśmiertelnego uroku życia, zakłętego w beztroski uśmiech i dynamiczną siłę zdrowego, sprężystego ciała!

Stef. H.



Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Msza H-moll Bacha w Filharmonji — Koncert symfoniczny, zorganizowany staraniem Stowarzyszenia Miłośników dawnej muzyki. Recital skrzypcowy Burmestra — „Lucia z Lammermooru” w operze. Występy gościnne.

Jeszcze szaleństwa karnawałowe były w pełnym tempie, sale koncertowe świeciły pustkami, zaniedbane przez ogół rozbawionej publiczności, a już świat muzyczny przygotowywał się do wielkiego ewenementu, wymagającego wytrwałej pracy i zmobilizowania olbrzymiego zespołu — do Mszy h-moll Bacha, zapowiedzianej na ostatnią niedzielę karnawału, zamiast popołudniowego koncertu w Filharmonji. Weszliśmy więc zawczasu w okres muzyki wielkiego postu, dającej największe zadowolenie nawet tym, którzy dali się uwieść w zapusty złudnym rytmem tanecznym, nawet „szerszej” publiczności, bo z myślą o niej właśnie był utwór ten napisany, jak zresztą dla niej, w każdym czasie, była przeznaczona muzyka kościelna, która i tym razem ściągnęła tłumy do sali Filharmonji, wypełnionej do ostatniego miejsca.

Jan Sebastian Bach był protestantem; msze i kantaty, które pisał na wszystkie niedziele i święta w roku, przeznaczone były dla kościoła protestanckiego, jak również pięć utworów muzyki pasyjnej, z których zachowały się tylko dwa: według św. Mateusza i św. Jana, — ale największym dziełem, przewyższającym potęgą brzmienia i kunsztem polifonii cały olbrzymi dorobek Bacha, a ogromnemi rozmiarami większe ponad wszystkie utwory muzyki liturgicznej — była wielka Msza katolicka h-moll. Potężne to dzieło ofiarował Bach, jako kantor Thomasschule w Lipsku, a więc muzyk, piastujący najzaszczytniejsze stanowisko w Niemczech — Augustowi III, elektorowi saskiemu i królowi polskiemu, a w roku 1736 otrzymał tytuł nadwornego kompozytora. Na to wielkie dzieło złożyło się 26 utworów: sześć aryj, trzy duety i siedemnaście chórów (cztero i ośmiogłosowych). Potęga brzmienia Mszy H-moll opiera się na chórze, któremu zresztą przypadło w udziale trzy czwarte dzieła. „Credo” i „Confiteor unum baptisma” ma intonację, zaczerpniętą ze starych motywów gregoriańskich, — a niektóre chóry, od pierwszego „Kyrie” poczynawszy, są popisem mistrzowskiego opanowania fugi i jej zamkniętej formy wokalne. „Crucifixus etiam pro nobis” jest kulminacyjnym utworem Mszy, obrazem Męki Pańskiej, spokojną, bolesną rezygnacją nad zbawieniem świata przez Ukrzyżowanie, nad sprawą grzechów człowieka, dla którego cierpiał Chrystus. Ale już po melancholijnem rozpamiętywaniu sceny Ukrzyżowania następuje radosny, wielki, potężny, dla tysięcy piersi przeznaczony, chór: „Et resurrexit tertia die”, pełen natchnionej wiary i uwielbienia „Sanctus Dominus”, i, opromieniony cudem Wielkiej Nocy, chór „Hosanna in excelsis”. Msza

H-moll Bacha nie ma w muzyce liturgicznej dzieła równego sobie siłą brzmienia i doskonałości kontrpunktu. Wszystkie inne utwory kościelne wydają się małe i nikłe wobec tej formy gigantycznej, obliczonej na wszystkie umysły.

Niewdzięczne zadanie mają może instrumenty drzewne i blaszane, ponieważ w początkach XVIII w. były one inne, niż dzisiaj; ale w zespole oratoryjnym celem ich jest spotęgowanie dźwięku, nad którym panuje chór i soliści.

Chór mieszany imienia Meistersa z Katowic, pod sprężystą i dzielną dyрекcją prof. Zubricha przyczynił się głównie do dobrej interpretacji Mszy H-moll w Filharmonji i z zadania swego wywiązał się doskonale. Świetne przygotowanie, karnie prowadzone głosy, poczucie rytmu, dynamiki, przede wszystkim czystej intonacji i podkreślania efektów wielogłosowości,—usunęły w cień naszych solistów, orkiestrę i organy i wykazały, że celowe przygotowanie w Katowicach ma większą wartość, aniżeli dorywcze występy w Warszawie. Dlatego kantata J. S. Bacha: „Weinen, Klagen, Sorgen, Zagen“, włączona do programu „Stowarzyszenia miłośników dawnej muzyki“, które od czasu do czasu urządza większe koncerty w sali Filharmonji, nosiła te same ślady dyletantyzmu, które jaskrawo odbiły się na tle chóru z Katowic. Chwalebne są wszystkie zamierzenia, mające na celu szerzenie kultury muzycznej, szczególnie przez utwory klasyczne, ale także koniecznym warunkiem jest odpowiednie przygotowanie, szczególnie utworów Bacha.

* * *

Przypomnił się Warszawie niesłyszany od wielu lat skrzypek wielkiej sławy, Willy Burmester. Wiek artysty, który obchodził niedawno pięćdziesięciolecie wirtuozowskiej kariery, rozpoczętej występami cudownego dziecka, nie odbił się na „wielkiej grze“ Burmestra, nie ujął nic z mistrzowskiego stylu wykonania drobnych utworów, któremu artysta sławę swoją zawdzięczał. Burmester upodobał sobie miniaturową formę i tworzył dla niej szereg transkrypcyj, znanych w literaturze skrzypcowej. Ten sam spokój w klasycznym stylu gry oraz opanowanie instrumentu, w tonie i technice, doskonale składa się na niesłabnące wrażenia słuchaczy.

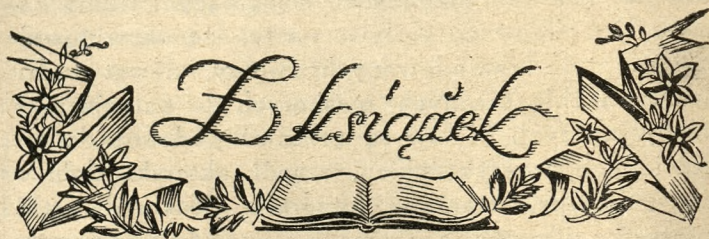
* * *

W operze wydobyto z rekwizytorni „Łucję z Lammermooru“ Donizettiego, napisaną w stylu włoskiego „bel canto“, ale należącą do oper, które już nie żyją. Tragedja, osnuta na tle szkockiej powieści, nuży dramatyczną przewlekłością, a melodia nie ma wdzięku muzyki Belliniego, Rossiniego i Verdiego. Jednakże poza wirtuozją koloraturową sopranu i popisową arją grobową tenora, są w „Łucji z Lammermooru“ dwie rzeczy o niezatartem pięknie: solo na harfę przed drugą odsłoną i słynny w literaturze operowej sekstet. Ale cały wieczór, poświęcony „Łucji“ dla tych utwo-

rów — koliduje z wymaganiami nerwowego, współczesnego słuchacza. P. Bandrowska-Turska, jako „Łucja“, sprostowała zadaniom „bel canto“, a p. Woliński, jako Edgar, miał duże pole do popisu, szczególnie w ostatniej arji, w której przepiękny głos jego błyszczał wszystkimi barwami tkliwego liryzmu.

P. Margot Kaftal święciła znowu triumf, jako Santuzza, w „Cavaleria rusticana“. W kreacji świetnej artystki sopran dramatyczny włoskich oper ma zawsze właściwy styl i kulturę, które przy bardzo dobrych warunkach wokalnych zjednały p. Kaftal sławę u nas i na scenach zagranicznych. Pełna widownia nagradzała śpiew wybitnej artystki rzeszestem oklaskami.

P. L.



Tadeusz Kończy: „Śladem ostatnich snów“, „Ognisko“.

F. Hoesick—Warszawa, 1926, 1927.

„Radość życia jest nakształt podkowy zgubionej—
Niekazdemu jest danem znaleźć ją na drodze...”

Ten dwuwiersz może służyć, jako leitmotyw dwóch zbiorów poezji, stanowiących jednolity wyraz duszy nieuleczalnego marzyciela, pielgrzymującego od tęsknoty do tęsknoty, od złudzenia do złudzenia, z wierną towarzyszką „melancholją, słodką siostrzycą miłości“. Duchowe tło twórczości Kończyca od lat najmłodszych było zawsze liljowe, jak niebo po zachodzie, przed ukazaniem się pierwszej gwiazdy. Życie wpisywało rozmaite konstelacje na tym firmamencie, ale tło pozostało niezmiennie: blade i drżące w oczekiwaniu gwiazdy, która ma nadejść, kto wie? lada chwila, a może nigdy?

Rówieśnicy Kończyca wielokrotnie zmieniali przez ten czas skórę i kultę poetyckie. On pozostał wierny dawnym bogom, bez względu na prądy chwili i szanse powodzenia. Píše i dzisiaj tak samo, jak wówczas, gdy miał lat osiemnaście. Doskonały kolega, serdeczny przyjaciel, miły towarzysz—zamknął w poezji cały swój utajony weltszmerz, cały głęboki smutek, płynący ze świadomości przemijania.

Rozsypały się, jako listeczki,
Moje ciche i żałosne wiersze —
Te—ostatnio pisane karteczki,
I te—dawne, i tamte—najpierwsze...

Dziś, po latach, patrzę w dal ogromną,
Nie wiem, dokąd je uniosła fala...
Czy snem był, co go wraz zapomniał,
Czy melodią, którą czas utrwala?

I gdy wichry mi echa przynoszą
Pieśni — w życia pogubionych lesie —
Wiem, choć innym mogły być rozkoszą,
Lecz mnie — żadna szczęścia nie przyniesie“.

Łagodny uśmiech przez łzy stanowi główny czar tej bezpretensjonalnej liryki, w której każdy ton jest oddany szczerze i napewno trafi do serca czytelnika.

S. P. O.

Wanda Miłaszewska: „Pierwsza miłość“. Warszawa, 1928 r.
Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Tom nowel młodej, a już mającej poza sobą kilka powieści, autorki, dobrze znanej czytelnikom „Bluszcza“, a w ostatnich dniach odznaczonej drugą nagrodą na konkursie w Poznaniu za powieść „Młyn w Bożejwoli“—jest taki, jakim być powinien: wierny



Pani Wanda Miłaszewska, stała współpracowniczką „Bluszcza“, autorką licznych powieści i wydanego obecnie tomu nowel p. t. „Pierwsza miłość“.

temperamentowi autorki, zgodny z linią rozwojową jej twórczości, miękko tulącą się do ludzi i rzeczy, oglądanych przez pryzmat swoistego sentymentu.

Miłaszewska starannie omija wszystko, co zbyt nim realizmem życia mogłoby razić nadczułą wrażliwość, lub pruderję. Unika jaskrawych efektów; temat, najbardziej nawet niebezpieczny, umie skrzętnie odmuhać z pyłu powszedniości, pozostawiając na nim nietknięty puszek najsztubtelniejszych drgnięć duszy, o które nikt nie dba i które giną najczęściej, wdeptane w błoto życia, jak kwiaty, nikomu niepotrzebne, nikogo nie upajające swą przedśmiertną wonią. Każda książka Miłaszewskiej—to zielnik, w którym z pietyzmem przechowuje się te, przyblakłe nieco, zgaszone w barwach zdobycze życiowej herboryzacji, zbierane po miedzach polnych, na brukach wielkich miast, w okienkach zapadłych dworców i krzywych facjatek.

Spotkamy między nimi prawdziwe perełki pomysłu i faktury, np. „Balbina, ostatnia panna respektowa“, skądinąd biorąc, drobny przyczynek do bezimiennnej staropanieńskiej martyrologii, której ostatnie mohikanki dogorywają jeszcze gdzieś, jak staroświeckie, wyszłe z użycia, przez nikogo niepielęgowane „drzewka woskowe“.

Książek Miłaszewskiej zalecać nie potrzeba: mają one już swoją wyrobioną rasę własnych czytelniczek.

S. P. O.

Apolonjusz Zarychta: „Rycerski sport“. Podręcznik łucznika, wyd. Polski Związek Łuczników, Warszawa, 1928 r. Okładkę rys.

Stefan Osiecki. Str. 40. Ilustracyj 17.

Leży przedemną mała, w estetycznej okładce, książeczka o sporcie łuczniczym. Ta prymitywna broń, którą do dziś dnia posługują się dzikie ludy, może się stać sprzętem jednego z najzdrowszych i najdośćniejszych sportów współczesnych. Uprawiać go mogą zarówno dzieci, jak dorośli, mężczyźni, jak kobiety—z jednakim pożytkiem dla zdrowia i prawidłowego rozwoju mięśni górnej połowy ciała.

Autor w formie przejrzystej i zachęcającej kreśli krótką historję łucznictwa, w-pominając o takich rodzimych arkmistrzach, jak Jan III i Jan Chryzostom Pasek—wyjaśnia jego znaczenie sportowe i higieniczne, wreszcie podaje opis sprzętu łucznego i szereg wskazówek praktycznych, odpowiednio zilustrowanych.

Niewątpliwie ta miła książeczka zjedna „rycerskiemu sportowi“ liczne zwolenniczki wśród naszych pań.

S. P. O.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOMENDANTKA POLICJI

W Arlingtonie (St. Zjednoczone Ameryki Północnej) Komendantką policji kobiecej została mianowana dzielna, ciesząca się wielką popularnością Miss Helena Bader.

PIERWSZA ADWOKATKA W CHINACH

Pierwsza adwokatka w Państwie Niebieskiem, pani Sumej-Szeng, która przed trzema laty przeniosła się do sądownictwa, została obecnie wybrana na prezesa sądu w Szanghaju.

NA UNIWERSYTETACH FRANCUSKICH

Kobiece pismo paryskie „Droit des Femmes” zamieszcza ciekawą statystykę, dotyczącą ruchu ku uniwersyteckiemu wykształceniu wśród kobiet francuskich. Zestawimy tylko dwie cyfry: gdy w r. 1905 francuzki po raz pierwszy zostały dopuszczone do ostatecznych egzaminów, — 26 studentek uzyskało dyplomy. Zaś w roku 1925 — liczba kobiet, które ukończyły uniwersytety we Francji, dosięgła już cyfry 1777.

CO TRZEBA PRZEJŚĆ, ABY ZOSTAĆ ŻONĄ MAHARADŻY?

Angielskie czasopisma, lubujące się niezmiernie w opisach rozmaitych uroczystości przy dworze i ślubów arystokratycznych podają ostatnio ciekawe szczegóły, dotyczące zamierzonego małżeństwa młodzieńczego maharadży z Indore z uroczą amerykanką, miss Anną Miller.

Poznali się w Nowym Jorku, na balu w noc Sylwestrową. I aczkolwiek podobne małżeństwa mieszane uważane są wśród ciemnoskórych, jako ułbanie godności całej kasty, a wśród amerykan i europejczyków, jako mezaljans w najgorszym guście, aczkolwiek podobne pary kończą zazwyczaj swoje pożycie tragicznie — maharadża Rao II i śliczna miss Anna są tak bardzo w sobie zakochani, że na nic się zdały perswazje i ubolewania wszystkich krewnych i powinowatych!

Okazuje się jednak, że nie jest to rzeczą łatwą zostać żoną maharadży!

Amykanka, zanim poślubi swego wysoko postawionego narzeczonego, musi przejść na wiarę hindusów i poddać się długotrwałemu obrzędowi „oczyszczenia”.

Odważna dziewczyna przybyła właśnie do Madrasu, gdzie ma zadanie uczynić wymaganiom religji swego przyszłego pana i władcy.

Na samym początku ceremonij religijnych panienka musi pościć przez 3 dni zrzędu, posilając się najwyżej surowcami, poświęconymi owocami. Następnie musi 3 razy wykąpać się w świętych wodach Gangesu, przy akompaniamencie odpowiednich hymnów i uroczystych modlitw bramińskich.

Po ostatniej kąpieli panna młoda musi spożyć pewną porcję świętego, rytualnego ciasta, zrobionego przez kapłanów z miodu, mleka, masła, cukru i świętej wody.

Pierwsza część obrzędu skończona!

Oczyszczona wodami Gangesu i świętym plackiem, miss Miller musi własnoręcznie zapalić ogień na kominie polanami świętego drzewa i, przebrana w skromne, białe jedwabne szaty, musi zabrać się do sporządzenia odpowiednich placuszków z ryżu, upiec je na świętym ogniu i ofiarować od siebie bogu Brahmi.

Po tej ofierze, w obliczu buchającego ognia, narieczona złoży przysięgę wierności Bogu, obyczajom i mężowi. Najstarszy kapłan nada jej imię hinduskie, i świeżo wyświęcona brahminka

wypisze to imię na warstwie ryżu, ułożonego na dużej, złotej tacy.

Następują ostateczne obrzędy.

Najświeźszy kapłan nakreśli na czole dziewczyny czerwony znak swastyki, jako dowód przyjęcia jej w poczet wiernych wyznawców religji hindusów. Nastąpią długie modły i śpiewy rytualne.

Panna młoda przystroi się uroczystie i wyjdzie w otoczeniu swego dworu na spotkanie maharadży,

Ale nie ujrzy go zbliżając się.

Pomiędzy narzeczonymi zostanie zawieszona płachta białego, gęstego muslinu. Młodzi obejdą z całą procesją siedem razy święty ogień dookoła (oznacza to pokonanie siedmiu przemian w życiu). Wreszcie staną przed ukwieconym ołtarzem, kapłan, posypią ich głowy ziarnkami ryżu, zabarwionymi na kolor złoty, i przy odpowiednim hymnie i zaklęciach opadnie powoli na dywan — biały, muslinowy parawan.

Obrzęd zaślubin będzie dokonany. Młodzi podadzą sobie dłonie; miss Anna Miller zostanie maharani z Indore, małżonką Rao II-go Kolkar i nosić będzie imię jednej z prababek młodego władcy. Otworzą się na jej przyjęcie rzeźbione podwoje wspańiałego pałacu, złociona klatka zamknie się za nią, może nazawsze..

Ale dziewczyna kocha, i nic ją nie przeraża.

Miss Miller jest dopiero drugą amerykanką, która przechodzi na wiarę brahminów. Kilkanaście lat temu jej rodaczka przyjęła religję hindusów i poślubiła dr. Rao Kenter. Podobno jest szczęśliwa i zadowolona z losu.

H. S.

ANGIELKI WCIAŻ WALCZĄ...

Znowu wszystkie związki kobiece angielskie (w liczbie 23-ch) wręczyły premierowi Baldwinowi memoriał, domagający się obniżenia wieku, wymaganego od wyborczyń, z 30 lat do 21, i znowu prezes ministrów przyrzekł przedstawić ten projekt na najbliższym posiedzeniu parlamentu.

Kończcie, a będzie wam otworzono!

H. S.

KSIĘŻNICZKA KUPCOWĄ



Księżniczka grecka Andrea, szwagierka króla Konstantyna, otworzyła w Paryżu sklep z jedwabiami, perfumami i towarami greckimi. Księżniczka (po prawej stronie kliszy — bez kapelusza) osobiście obsługuje klientów.

U ŹRÓDEŁ MODY

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam artykuł p. dr. St. Zahorskiej: „Psychologia Mody”, umieszczony w 2, 3, i 4 numerach „Bluszcza”.

Moda jest tak realnym i intensywnym czynnikiem w życiu ludzkim, że istotnie należało się jej to omówienie, nie tylko dlatego, że „Bluszcz” ma dział mód, ale z powodu poczesnego miejsca, jakie moda w życiu zajmuje, i to — jak doskonale, na genetycznie rozwiniętych przykładach, stwierdza autorka artykułu — nie tylko w życiu kobiet, lecz również i mężczyzn.

Pani dr. Zahorska ma zupełną rację, wykazując, że panowanie mody nie można przypisywać kaprysovi, ani też wyłącznie warunkom klimatycznym, ekonomicznym, wymogom życia codziennego itp. Byłoby to zbyt płytkie i krótkowzroczne ujmowanie tego szerokiego i trwającego poprzez wieki przejawu życiowego.

Dla każdego, kto badał historię sztuki, obyczajów i historię porównawczą życia różnych narodów, staje się jasną prawdą, że przejawy mody nie tylko nie są kaprysem, ale mają logiczny sens i muszą mieć głębszy podkład, oparty na psychologii jednostek i społeczeństw. Pewne obyczaje, dane warunki życiowe, klimatyczne i ekonomiczne wpływają na modę, lecz tylko pośrednio; daleko więcej podlega moda prądom znacznie głębszym: umysłowym i artystycznym.

Do tego miejsca zgadzam się z p. Zahorską; a jednak z ostatecznymi wnioskami jej artykułu nie mogę zgodzić się w zupełności.

Wydaje mi się, jakby świetnie zaczęta i przeprowadzona przez autorkę teza, o bardzo szerokim zakresie i głębokiem podłożu — doprowadziła nagle w zakończeniu do konkluzji znacznie węższej i nieco jednostronnej, a także nie ujmującej całokształtu dzisiejszych dążeń rozwoju ludzkiej psyche.

Twierdzi mianowicie p. dr. Zahorska, że moda jest wynikiem ideału kobiecego, powstałego w wyobraźni mężczyzny, i że mężczyzna tę modę tworzy, a kobieta z niezmierną giętkością dostosowuje się do tego szablonu, przeistaczając z przedziwną łatwością najistotniejsze swe cechy. Dalej, że obecna garsonka jest wytworem jedynie francuskich powieści, music-hallów Montmartre'u i stylizacji malarzy francuskich.

Znaczy to — zdaje się, wyraźnie — że kobieta kształtuje swą postać tylko i jedynie na wzór i podobieństwo gustów męskich i nakazów mody, przez mężczyzn wymyślonej. Że nie tylko ubiera się i upiększa wyłącznie z myślą przypodobania się rodzajowi męskiemu, lecz pod jego imperatywem kształtuje całą swą istotę, tworzy całą otaczającą ją atmosferę przyzwyczajęń, upodobań i zamiłowań.

Otóż z tem nie mogę się zgodzić.

Jeżeli uznajemy modę za pewien przejaw psychiki ludzkiej, jako kształtowanie siebie, swej postaci,

w myśl pewnego ideału piękna, czy może nawet, w miarę rozwoju ludzkości, jako nadawanie swej postaci cielesnej takich cech, jakie charakteryzują właśnie ten nasz rozwój duchowy — to nie mamy żadnej racji twierdzenia, że ta praca psychiczna przejawia się u mężczyzn wyłącznie.

Nie mamy żadnych dowodów, że ten dziki, który pierwszy utatuował się, przyozdobił i wywyższył tym sposobem — był to wyłącznie i jedynie mężczyzna.

Autorka artykułu twierdzi, że kobietę bogobojną wymarzyli średniowieczni pobożni rycerze. — Niewiadomol Historia i opinia ogólna stwierdzają, że zawsze kobiety były skromniejsze i pobożniejsze od mężczyzn — biorąc ogólnie; że nie każda była bogobojna — to pewne, ale, usiłując wydać się taką, mogła działać równie dobrze pod nakazem obyczaju, wytworzonego nie przez same kobiety, lub samych mężczyzn, lecz poprostu — przez ogół.

Że kobiety pragną ubraniem i zarysem postaci przypodobać się mężczyznom w bardzo wielu wypadkach — rzecz zupełnie prawdziwa; ale należy wziąć pod uwagę jeden fakt: oto, gdy mężczyźni na ogół bardzo niewielką wagę przywiązują do swego stroju, mało się na nim znają i jeżeli zwracają nań uwagę niekiedy, to właśnie tylko dla podobania się kobiecie — to istnieją legjony kobiet, zamiłowanych w stroju, zajmujących się nim bardzo intensywnie i ubierających się przeważnie dla... własnej przyjemności!

Jakież wobec tego możemy twierdzić, że kobieta ubiera się tylko dla mężczyzny i w myśl wytworzonego przez niego ideału?

Że modę tworzą właściciele wielkich magazynów — przeważnie mężczyźni — że ją malarze-mężczyźni rysują — jest to już objaw wtórny: — pierwszy pomysł wyjść może od kobiety. Weźmy np. historię krynoliny z czasów drugiego cesarstwa. Jest przecież rzeczą wiadomą, że powstała ona, jako pomysł i życzenie cesarzowej Eugenji, która — mając zmienioną chwilowo figurę, pragnęła zachować linję. Napewno nie zależało na tem nic cesarzowi.

A surowe szaty z epoki pani de Maintenon? — to przecież typowa psychika jej i tylko jej wyłącznie. Nie mężczyźni z dworskiego jej otoczenia to wymyślili.

Tak samo i dzisiejszy typ linji kobiecej. Narysowali go malarze, wprowadziły na widownię sceny; ale począł się on wprost z psychiki kobiety współczesnej, z jej poczucia — może nieraz wypaczonego — równouprawnienia, upodobnienia się do mężczyzny, z zamiłowań sportu, czasami z wymagań życia praktycznego... lecz to przyczyna raczej poboczna, głównie zaś z całokształtu idei swobody, niezależności — samodzielności, oporu przeciwko wszelkim ograniczeniom, załaty dawnej, miękkiej, uległej „kobiecości”. Napewno nie mężczyzna wytworzył ten ideał. Naodwrot — ze strony męskiej istnieje poważny sprzeciw, a twór-

cy mody, jej wykonawcy paryscy, rzucili na widownię... krynolinę!—Ano, zobaczymy, jak ona się przyjmie i czy długo potrwa! Narazie kobiety „przebiegają się” w nią tylko, na bal!

Nie! — Mody nie tworzy mężczyzna. Tworzą ją obie płcie wspólnie, pod wpływem nakazów psychicznych tak jednej, jak drugiej strony; przyczem człowiek kształtuje swą postać w myśl ideału piękna i doskonałości, zmieniającego i rozwijającego się w miarę rozwoju jego psychiki.

Moda obecna jest wynikiem dążeń do zachowania naturalnej linii ciała, (suknie bez trenów, turniur, fiszbinów, gorsetów, cudaczných ozdób),—zbliżenia się do przyrody (opalanie, kąpiele, sporty), a także wynikiem stanowczej przewagi intelektualizmu nad zamiłowaniem epikurejskiej natury — wyszczuplenie.

Ze tam przytem ktoś napisze „Chłopczyce”, lub jakaś dama włoży zbyt już krótką sukienkę—to są rzeczy, które zdarzają się zawsze i wszędzie, przy każdej przemianie społecznej i psychicznej. Lecz ta obecna „zmiana linii” nie jest tylko urzeczywistnieniem jakiegoś ideału kobiety, wymarzonego przez mężczyznę, lecz kształtowaniem się nowej rasy intelektualnej, jak np. w Ameryce — nowoczesnym człowiekiem, stosującym swą postać do swych nowych upodobań i nowego rozwoju psychicznego. N. J.



EKONOMJA DOMOWA NA KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM

3

Na pierwszym planie—wnętrze robotnicze, którego kilka metrów kwadratowych wyzyskano tak, żeby dać mieszkańcom maximum komfortu. Przedziwne zakamarki, z których każdy ma swój cel i mieści się właśnie tam, gdzie najlepiej może służyć. Niskie i szerokie szyby oświetlają doskonale kuchnię i stoły, a nie sufit, jak to u nas robią nasze wąskie, a wysokie okna. Całe ściany—to ukryte szafy, których półki, szuflady i drzwi mieszczą sprzęt niezbędny we właściwej ilości i w doskonałym gatunku. Niczego tam nie brak: ani do obsługi kuchni, ani do nakrycia stołu wreszcie do zmycia naczyń; ten ostatni szczegół roztacza cały przepych pałacowego zbytku w maleńkim mieszkaniu robotniczym:—zlew porcelanowy, stoły zmywalnie z białego marmuru, krany nikłowe—na ich tle majaczy mi się cień naszej robotnicy, szorującej na ziemi wiechciem i popiołem zakopcony, wyszczerbiony saganek...

Okok tej kuchni, której równych mało spotkamy w naszych najbogatszych wnętrzach,—pokój mieszkalny z firaneczkami, miękkimi sprzętami, kwiatami na stole; całość bardzo prosta i tania, ale utrzymana w charakterze narodowym, łatwa do sprzątnięcia, a przedziwnie wygodna.

Wnętrze zamożnego domu jeszcze dobitniej akcentuje właściwości narodowe i kulturalne. Wymarzony jest komfort kuchni, a estetyzm jadalni doprowadzony do szczytu wyrafinowania. Zwłaszcza stół, nakryty śliczną porcelaną, jasno - dymnem szkłem, przybrany fiołkami, nie ma w sobie nic z wykwintu restauracyjnego, daje pojęcie najlepsze o uroczym zaciszu domu szwedzkiego.

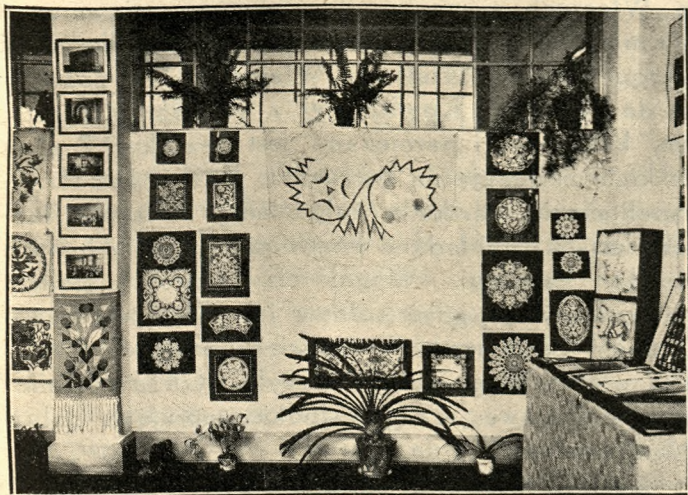
Dla nabrania pojęcia o tem, jak wysoko posunięty jest poziom nauki gospodarstwa kobiecego w Szwecji, mamy w sąsiedniej sali urządzenie szkoły, i to nie rysunek, albo model, ale całkowite wnętrze z kuchniami, stołami dla uczennic i katedrą dla nauczycielek. Nieliczne zdjęcia fotograficzne pozwalają na zapoznanie się z życiem szkoły, a szczególów udziela niestrudzenie zawsze obecny dyrektor Lundel z Upsali i córka jego, kierowniczką szkoły gospodarstwa wiejskiego. Obok rozmieścili oni sprzęt dla wędrownych kursów gotowania, wraz ze skrzyniami, służącymi do przewozu i do urządzenia prowizorycznej kuchni. Drugi dobór służy kursom zdrowia i opieki nad niemowlęciem.

Szczególnie pociągającym czyni dział szwedzki ów charakter narodowy, odbity w motywach haftów i tkanin, rozmieszczonych z wielkim umiarem w każdym dziale. Tę samą cechę, ale z większym rozmachem, znajdujemy w ślicznej, bogatej wystawie czeskiej, w której rzucają się w oczy dwa półkola manekinów w cudnych strojach słowackich, i przepych charakterystycznej ceramiki.

Czesi górują ponad innemi narodami bogatym piśmiennictwem, obejmującym całą skalę nauki gospodarstwa, ze szczególnem uwzględnieniem wiejskiego.



Ekspozycja Sekcji Kół Gospodyń wiejskich.



Ekspozycja Stow. Ziemianek.

Liczne mapy, wykresy, fotografie, świetnie opracowane wydawnictwo propagandowe, dające obraz planowej pracy naszych sąsiadów—wzbudza w nas zazdrość, że nie mamy nic podobnego w naszym dziale, który zresztą, choć ani tak bogaty, jak czeski, ani tak efektowny, jak szwedzki, niemniej jednak przedstawiał się poważnie i wzbudzał niemałe zainteresowanie zwiedzających.

Zaletą naszego działu była jego doskonała, jasna i zwarta kompozycja, która pozwalała zainteresowanym poznać całokształt polskich wysiłków w zakresie gospodarczego wykształcenia. Pomysł i układ tego działu, zgromadzenie jednolitych w charakterze, aczkolwiek różnorodnych w treści fotografii, programów i wykresów—były dziełem p. Zaborowskiej, naczelniczki sekcji nauki zawodowej w Min. Oświecenia. Dawał on dokładny obraz tak owocnej, choć zaledwie kilkoletniej pracy Ministerstwa; a wykresy statystyczne i mapy, z których jedna uwidoczniała liczbę kilkunastu szkół gospodarczych w Polsce w chwili odzyskania niepodległości, a druga—pełen żywiołowego rozwoju, stan obecny, dający jaknajlepsze nadzieje na przyszłość—zjednały ogólny podziw. Dalej rozwijał się systematycznie obraz naszych szkół wyższych i seminarjów, szkół ludowych rolniczych i miejskich gospodarskich; zawodowych z działami gospodarstwa i zawodowych wiejskich drobiarstwa i mleczarstwa; wreszcie pracę instytucji społecznych i dokształcanie gospodyń, prowadzone przez Zjednoczone Stowarzyszenia Ziemianek i różne Towarzystwa rolnicze. Tu imponowała szczególnie mapa kursów, prowadzonych przez sekcję gospodyń Centralnego Towarzystwa Rolniczego, pod energicznym i jakże umiejętnym kierunkiem p. Zdanowskiej, oraz fotografia ostatniego Zjazdu gospodyń w Częstochowie, który zgromadził około 2000 kobiet u stóp Królowej Korony Polskiej.

Ilustracją praktyczną tej teoretycznej strony były doborowe roboty naszych szkół, kilimy i tkaniny, peł-

ne gustu i charakteru, hafty stylowe i delikatne koronki, wreszcie słodka ozdoba naszego działu, tembardziej rzucająca się w oczy, że była jedyną na całej wystawie—to „wyroby” spożywcze naszych szkół gospodarstwa. Apetyczne konserwy, susze, serki, marmelady i cukierki, przeróżne mazurki, ciastka, pierniki, nie tylko ładne i smaczne, ale gustownie i pomysłowo opakowane w artystyczne i bardzo polskie koszyczki, tekturki, kobiałki i pudełka.

„Nadto nęcący ten polski dział!” zaopiniowali goście wystawowi, i nierzadko wyciągała się jakaś nieposkromiona ręka, aby choć okruszynę z niego uskubnąć. Były to pozaprogramowe, ale szczere objawy uznania dla naszej gospodarności.

(d. c. n.)

M. Karczewska.

JAK ODŚWIEŻYĆ SUKNIE PLISOWANE

Nie możemy rozstać się z plisowanymi sukniemi: zawsze eleganckie, zręczne i wygodne, zyskały prawo obywatelstwa na dłuższy okres czasu. Dla osób, zamiłowanych w chodzeniu, spódniczki plisowane są nieocenione: rozszerzają się i zamykają, stosownie do szybkości poruszeń, dając zawsze estetyczną linię i swobodę ruchów. Jedną mają tylko słabą stronę, a mianowicie, że się łatwo gniotą. A że cała ich elegancja, to świeżość i linja, więc trzeba bardzo pilnować, aby fałdy nie były pomięte, ani zagniecione. Zdawałoby się, że nic łatwiejszego, jak odprasować zgniecioną sukienkę, a jednak ręczę, że mało która z moich czytelniczek potrafi zrobić to dokładnie. U spódniczek jedwabnych i z lekkiej wełny plisowanie przytrzymane jest mocno w górze wstążką, albo karczkiem; chcąc odprasować, trzeba suknię przewrócić na lewą stronę, włożyć na deskę, obszytą moltonem i przede wszystkim przypiąć gęsto szpilkami taśmę do moltonu; następnie, uważając, aby szły po prostej nitce, ułożyć w palcach tyle fałd, ile się ich zmieści na szerokości deski; zaznaczyć je ledwo ciepłym żelazem od góry do dołu, po prostej nitce, aby fałdy równo wyciągnąć się dały. Ułożwszy i załamawszy je, przypiąć każdą do moltonu i zaprasować bardzo gorącym żelazem przez dobrze wilgotny kawałek płótna. Po należytem dosuszeniu tych kilku fałd, odpiąć szpilki i układać nowe do prasowania, zawsze od góry do dołu, znacząc fałdy lekko rozgrzanym żelazkiem, a zaprasowując bardzo gorącym przez wilgotny ręcznik. Niektóre materiały wełniane, łatwo przyjmujące wilgoć, schnąc powoli, mogłyby zupełnie się rozkarbować, trzeba je więc, po zaprasowaniu przez płótno, dosuszyć po lewej stronie niezbyt gorącym żelazkiem.

Skończywszy robotę, można zafstrygować plisy cienką igłą u samego dołu — szpilkami spinać ich nie trzeba, bo na wilgotnym materiale będzie znać przekłucia.

Powiesić suknię na wieszadku w samym środku pokoju, u lampy naprzykład, tak, aby wisiała w powietrzu i z żadnej strony nie dotykała ściany. Niech tak zaschnie, a będzie sztywno splisowana, jak zupełnie nowa.

Jeżeli zmoczona deszczem spódniczka rozkarbuje się, nie wystarczy ułożyć fałdy palcami, ale trzeba uciec się do centymetra, mając na uwadze dwie miary: głębokość i szerokość fałd, które powinny zachodzić na siebie. Obydwa wymiary weźmiemy u góry, w miejscu, gdzie fałdy wszyte są w karczek lub wstążkę. Zapomocą centymetra, lub tekturowej miarki ułożymy je, stale pilnując prostej nitki i postępując dalej, jak poprzednio wskazane. W taki sposób odświeżana od czasu do czasu sukienka zachowa całą elegancję i da się nosić parę sezonów z powodzeniem.

J. S.

KUCHNIA U RÓŻNYCH NARODÓW

Jakkolwiek zaznaczyliśmy w poprzednim artykule p. t.: „Gastronomja po przez wieki”, iż kuchnia francuska bezsprzecznie zajmuje pierwsze miejsce, niemniej jednak ciekawem będzie zapoznać się z kuchnią innych narodów; zrobimy więc krótki przegląd kuchni: włoskiej, hiszpańskiej, portugalskiej, niemieckiej, austro-węgierskiej, angielskiej, bałkańskiej, polskiej, rosyjskiej, żydowskiej, kuchni Stanów Zjednoczonych i kuchni egzotycznej.

KUCHNIA WŁOSKA

Triumfem włoskiej kuchni, są wyroby cukiernicze, ciasto i pieczywo, przyrządzane najrozmaitszymi sposobami. Włosi posiadają pozatem mnóstwo oryginalnych potraw, jak: Polenta—rodzaj wybornej zupy z kukurydzy; Risotto, które ma kilkanaście odmian; Minestra,—wysmienita zupa z jarzyn, ryżu i makaronu, do której dodają szynkę, kielbasę i ser, przyprawiając to wszystko aromatycznymi ziołami; Grizini — rodzaj sucharów z domieszką kaszy; Agnolotti—doskonałe naleśniki, nadziane siekanym mięsem; Ravioli—siekanie mięso i jarzyny, zawijane w ciście. We Włoszech mięso i drób są bardzo nieszczęgólne, z tej racji używają dużo siekaniny. Natomiast doskonale są ryby, które włosi potrafią świetnie przyrządzać. Z jarzyn najbardziej rozpowszechnione są: Finochi i Brocoli—mało znane gdzieindziej. Największą popularnością cieszą się pomidory, które

we Włoszech są znakomite. Jako sery, używane są Parmezan i Gorgonzola, mogące konkurować z Roquefort'em. Masło we Włoszech dużo pozostawia do życzenia. Kombinacyj z pomidorów, ciasta, ryżu, kukurydzy i parmezanu jest bez liku. Z ciast włoskich zasługuje na wzmiankę Pasta Ivolla—neapolitańskie ciastka z migdałami, następnie francuskie ciasta, przekładane konfiturami, przypominające Strudel bawarski. Wogóle ciastka włoskie grzeszą zbytnią słodyczą, gdyż połowę ich zawartości stanowi cukier. Co do napojów—najwięcej rozpowszechnione są wina z Wezuwjusza i Sycylii. Cjhianti—niezłe wino stołowe; Asti—słodkie, musujące, dobre wino deserowe.

Kuchnia włoska posiada swe zalety, ale i wady, z powodu złego mięsa i masła.

KUCHNIA HISZPAŃSKA

Hiszpanja, ten cudny kraj, posiada bardzo lichą kuchnię. Wyjątek stanowią: Madryt i Barcelona, gdzie przyswojono kuchnię francuską. W Hiszpanji dobrą jest tylko wieprzowina, masło i oliwa — niesmaczne wina zaś zawsze czuć kozłem. Narodową potrawą hiszpańską jest Puchero—zupa z jarzyn i wieprzowiny; Olla podrida—zupa, do której również wchodzi wieprzowina, jarzyny i t. d. Choriza—kielbasa z wieprzowiny i cielęciny—słynne są szynki z Asturji, gotowane w Xeresie, oraz escabescia—chaudfroid z kuropatw. Z win cytujemy Malagę i Xeres.

KUCHNIA PORTUGALSKA

Kuchnia portugalska nie jest lepszą od kuchni hiszpańskiej. Portugalczycy konsumują dużo grochu, fasoli i pomidorów. Cucido—rodzaj zupy pomidorowej, jest bezsprzecznie najlepszą potrawą. Dobre są również flaki przyrządzone à la Porto. Z win najlepsze i najbardziej renomowane: Porto i Xeres.

KUCHNIA NIEMIECKA

Kuchnia niemiecka posiada wszystkie cechy narodu niemieckiego: brak jej wykuintności i lekkości, przeznaczona jest dla konsumentów piwa; charakterystyczną jej cechą jest kombinacja tłuszczu i cukru. Śród zup dominuje zupa piwna, bardzo smaczna, gdyż przyrządza się ją z miejscowego piwa kwaskowatego i musującego. Trzeba również wspomnieć o sławnej wołowinie z Hamburga, oraz wołowinie po berlińsku, marynowanej w piwie, następnie gotowanej ze słoniną i jarzynami. Sławna jest również Pfannenkuichen Hamelragout, t. j. potrawka z baraniny z kielbasą i kartoflami; Bazant z kapustą; Pasztet zajęczy po strasbursku; Sałata ze śledzi, kartofli, buraków i ogórków. Bardzo rozpowszechnioną potrawą jest Dampfndel—zrobione z kluseczek. Piwo niemieckie ma wszechświa-

tową sławę; — z win najbardziej renomowane są: Johannisberg, Rudesheimerberg i Liebfraumilch.

KUCHNIA AUSTROWĘGIERSKA

Wskutek tego, iż w skład Austro-Węgier wchodziły różne państewka i narodowości, kuchnia jej przedstawia dość wielką różnorodność. Podstawą kuchni wiedeńskiej są frytury, białe mięso i potrawy mączne. Dominującą cechą tej kuchni jest papryka. Zasługują na wzmiankę Wiener Schnitzel, Wiener Rostbraten, Gulasz z wołowiny, — gulasz z kurczęcia, ryżu i słoniny, kurczę w śmietanie z papryką i t. d. Na specjalną wzmiankę zasługuje szynka z Pragi. Z ryb — doskonały Sterlet i Fogoch z Dunaju. Wina są bardzo dobre. Z węgierskich najbardziej znany jest Tokaj. Stary tokaj posiada wielkie zalety. Wspomnieć trzeba również o znanym piwie pilzeńskim. Na zakończenie powiemy, iż austro-węgierska kuchnia najbardziej zbliżoną jest do francuskiej.

KUCHNIA BAŁKAŃSKA

Podstawą kuchni bałkańskiej jest kuchnia Bizantyjska, składająca się z jarzyn, baraniny i oliwy, do której turcy wprowadzili ryż. W Turcji baranina jest przyrządzana w najrozmaitsze sposoby: jako Pilaw z ryżem, jako siekanina w kapuście, lub figowych liściach, znana pod nazwą Dolma. Śród potraw miejscowych najbardziej lubiany jest Benrek, t. j., ciasto francuskie z serem; Kataif, rodzaj słodkiego makaronu; nareszcie dobrze znana Locoum, żelatynowata masa aromatyczna. Śród potraw współczesnej kuchni greckiej zasługuje na uwagę młoda baranina z ryżem, zwana Pilaw, do której dodają się rodzynki Smyrneńskie. Następnie potrawka z baraniny, ryżu i pomidorów, i tak zwane Ravioli z siekanej baraniny.

(d. c. n.)

S. S.

INWENTARZ

Nie wiem, czemu się u nas jakoś utarło mówić, że we wszystkich dziedzinach idziemy naprzód; jeżeli chodzi o rozwój nauki, to zapewne mamy rację, lecz jeśli chodzi o rozmaite praktyczne strony życia, to, zdaniem mojem, nieraz cofamy się tylko. Niech mi wybaczą wejście w ich kompetencję panie, piszące o modzie, nie będę wcale napadała na stroje współczesne: zgadzam się, że lekkie suknie, o prostym kroju, są estetyczne i praktyczne, że zbyt kosztowne, strojne tkaniny nigdy nie były tak piękne i gustowne. Natomiast stanowczo będę twierdziła, że ich nietrwałość i ciągła zmienność mody są fatalne dla coraz to skromniejszych budżetów domowych i że wspaniałe aksamity ljońskie, brokatele, adamaszki i mory naszych matek i babek, noszone w uroczystych chwilach życia, nie były mniej piękne, a miały tę zaletę, że nie tylko starczyły na całe życie ich właścicielkom, lecz przechodziły do córek i wnuczek i stanowiły ozdobę ich wyprawy. A że i mody dawniejsze nie wszystkie były brzydkie, świadczy najlepiej nawrót do najmniej z nich praktycznej krynoliny. A kiedy chodzi o bieliznę, to chyba nikt nie zaprzeczy, że cudowne, adamaszkowe, czysto lniane obrusy były praktyczniejsze i piękniejsze nawet, od wykoronkowanych ściereczek i pstrych gałganków, zaścielających obecnie stoły biesiadne. Lepiej się też spało na lnianych, jedwabistych prześcieradłach, niż na teraźniejszych, po dwóch praniach żółknących i rozpadających się nansukowych, czy chiffonowych. Najgorzej jest już z bielizną osobistą: parę zmian crêpe de chine'u, i tyleż pstrych opalowych garniturków - karzełków, i tuzin porwanych po pierwszej próbie uprania jedwabnych, pajęczych pończoszek; zamiast chusteczek — strzępek liworyzowanego jedwabiu, jasne i ciemne trykotowe reformy — to cały zapas niejednej elegantki, zmieniającej co tydzień suknię, a parę razy na sezon — okrycie. Jeszcze gorzej się dzieje z bielizną gospodarczą: ścierek prawie że niema, na ich miejsce służba używa zniszczonych przez czas serwet z dawnych zapasów, porwanej bielizny pościelowej, lub osobistej. Kucharka się podpasuje kawałkiem wora od maki, lub starej spódnicy; pokojowa ma fartuszek haftowany i czepeczek od gości tylko — na codzień sprząta w przybrukanej sukieneczynie. Nie chcę tu ujmy czynić dobrem i rzadnym gospodyniom, których u nas nie brak; lecz, niestety, ponury obraz, który tu ze smutkiem w sercu maluję, zbyt często się powtarza! A naczynia kuchenne?! — para pokrzywionych rondli, patelnie o połamanych rączkach, blacha dziurawa, noże wyłazące z trzonków, widelce o jednym zębie... i z temi narzędziami trzeba gotować na cały dom — bo więcej ich było, lecz ostatecznie się zniszczyły i zagracały tylko półki, lub też gdzieś się zapodziały. Po formę do budyniu lub galarety leci Jagusia do

Każda dobra gospodyni musi kupić książeczkę p. t.

„100 POTRAW Z JAJ”

KTÓRA W OKRESIE POSTU UŁATWI JEJ NIEZMIERNIE DYSPOZYCJĘ POSTNYCH OBIADÓW I KOLACJI

CENA 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO” — Warszawa, Krak. -Przedm. 99, po otrzymaniu należności — przekazem, lub w znaczkach pocztowych. —

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

sąsiadki; tort lub lody trzeba obstalować w cukierni, chociaż za różnicę ceny między zrobionymi w domu, a kupnemi, kilkakrotnie możnaby i jedną i drugą formę nabyć na własność.

A nasze spiżarnie? Czy są one należycie zaopatrzane w produkty suche, konserwy, napoje i t. p.? Co trzeba na raz jeden, na dzień jeden—kupuje się w najbliższym sklepie; kupuje zwykle służąca, nie dbająca ani o cenę, ani o wagę i nieznająca się na produktach. I kiedy się rozmawia o tych sprawach z młodem pokoleniem kobiet, mają zawsze jedną i tę samą wymówkę, jedno i to samo usprawiedliwienie: że nie mogą upilnować dużej ilości rzeczy, że wszystko im z pod rąk ginie, że duża ilość bielizny niszczy się prędzej, że większe zapasy zbyt szybko wychodzą, no, i jako zakończenie, zawsze piosenka o marnej, nie dbałej i nieumiejętnej służbie.

Że nasza służba powojenna jest niewiele warta, wiemy to wszyscy, a głównie—wszystkie; lecz któż ją wychował, jeśli nie powojenne, niedbałe o swój dom gospodynie? Jeżeli wszystko ginie z pod rąk, wychodzi w zadużej ilości—to czy nie dlatego, że nikt tego wszystkiego nie oblicza, nie zamyka, nie kontroluje?

Babki nasze prowadziły duże księgi, pod nazwą „inwentarzy domowych“, gdzie starannie zapisywały dziesiątki tuzinów bielizny osobistej i setki, nieraz, stołowej i pościelowej. Daty zrobienia, znaki szczególne (monogramy, herby), daty wyjścia z obiegu (zniszczenie, darowizny i t. p.)—wszystko tam było wymienione. Srebra, miedź kuchenna, pościele, sprzęty domowe, naczynia kuchenne, porcelana, fajans, szkło i kryształ—wszystko się wciągało do inwentarza. I zajmowały się tem wielkie panie, rozporządzające liczną służbą, służbą wierną i uczciwą, bo innej wtedy, nie powiem, że nie było, lecz takiej nie trzymano, usuwając ją natychmiast po sprzeniewierzeniu się. Czasem, zamiast pani, czynność prowadzenia inwentarza przypadała w udziale jakiejś zaufanej pannie respektowej, lub kuzynce—lecz zawsze pod częstą kontrolą pani. Do dzisiaj, w każdej niemal rodzinie ziemiańskiej, lub z patrycjatu miejskiego, przechowują się inwentarze wypraw rozmaitych babek i prababek, dające dokładne pojęcie nie tylko o zamożności tych rodów, lecz i o niesłychanej gospodarności i zabiegliwości kobiet dawniejszych pokoleń. A jednak musimy się na to zgodzić, że mniejszą szkodę stanowiła strata tuzina prześcieradeł z dwunastu tuzinów, niż dzisiaj zguba jednego z nich, z sześciu, stanowiących cały dobytek; i że mniej było szkoda chociażby paru tuzinów koszul, zniszczonych nieumiejętnem praniem, jeśli były drugie dwa tuziny na zamianę, niż jeśli jedną „combinaison“ ukradnie odchodząca służąca, jeśli pozostaną w domu dwie inne tylko, z których jedna potrzebuje dużej reperacji.

Otóż zagranicą kobiety, chcące zaprowadzić pewien ład w gospodarstwach swoich, uprościć sobie dozór nad swem dobrem, wracają do dawnych inwentarzy. Inwentarz sukien i bielizny przedewszystkiem,

inwentarz sreber, naczyń i sprzętów kuchennych następnie, inwentarz mebli, dywanów, obrazów, bronzów i t. p. Nakoniec—inwentarz spiżarni. Kiedy chodzi o tę ostatnią, oglądałam dowcipnie pomyslaną i naturalnie, niestety, niemiecką tabliczkę z ruchomymi kulkami, zapomocą przesuwania których odrazu widzimy, czego w naszych zapasach brak i co dopełnić trzeba. Mając taki inwentarz, zawsze wiemy, czem rozporządzamy, gdyż rzeczy zniszczone i wycofane z obiegu należy natychmiast wykreślać.

Przyjmując służącą, musimy jej zdać przedmioty, pozostające pod jej zarządem, dokładnie i szczegółowo, wymagając od niej podpisu z ich przyjęcia; nie będzie wtedy mogła, wrazie zniknięcia, tłumaczyć się brakiem ich w chwili objęcia służby, ani pani nie będzie mogła jej posądzać, niesłusznie nieraz, o nieuczciwość.

Jednorazowa praca przy zaprowadzeniu takiej księgi opłaci się stokrotnie, gdyż nie trzeba będzie tracić drogiego czasu na przypominanie, czy coś mamy, na szukanie tego „coś“ — szczególnie, jeśli zanotujemy sobie w takim inwentarzu, gdzie co jest schowane. Inwentarz spiżarni jest szczególnie pożyteczny — bo właśnie przedmioty spożywcze, wina, likiery, konserwy i smakołyki stanowią największą pokusę dla służby i najczęściej giną, a pewność, że każda malwersacja w tym kierunku może być natychmiast sprawdzona, powstrzyma niejednokrotnie od kradzieży.

Fani Elżbieta.



ZRAZY Z DORSZA

W handlu spotykamy dwa rodzaje dorsza świeżego: jeden, sprzedawany z głową, nadaje się raczej do gotowania; drugi przywożony odrazu bez głowy i wnętrzości, (które na miejscu są przerabiane na tran), jest odpowiedni na wszelkiego rodzaju farsze, nadzienia, kotlety itp., gdyż, chociaż droższy, mniej go odpada. Otóż kilo dorsza bez głowy pokrajać na plastry, grubości palca, zbić lekko, posolić na godzinę. Usmarzyć, ramięniąc z obu stron, na maśle lub szmalcu. Ułożyć do ogniotrwałej formy lub nelsonki. Na pozostałym tłuszczu przysmażyć ćwierć kilo pokrajanej w plastry cebuli, pokryć nią rybę. Zalać szklanką rosółu lub wody i pół szklanką śmietany, zagotować raz jeden i wydać w tem samem naczyniu. Oddzielnie podać przysmażane kartofle.

LIN Z CEBULĄ

Kilo lina oprawić i osolić na godzinę przed gotowaniem. W rondelku płaskim lub nelsonce rozpuścić dużą łyżkę masła, na to ułożyć rząd pokrajanego na dzwona lina, rząd krajanej w plastry cebuli (ćwierć kilo na kilo ryby), popieprzyć lekko; znowu rząd lina i cebuli, odrobina pieprzu, po wierzchu kawałeczki masła. Zalać szklanką rosółu lub wody, wrzucić parę ziarn pieprzu lub listek, na wierzch szklankę śmietany. Dusić przykryte na bardzo wolnym ogniu, często potrząsając rondlem, aby do dna nie przywarło. Gdy ryba i cebula zmiękną, podać w tem samym naczyniu. Do tej ryby najodpowiedniejsze są kartofle z wody.

WĘDZENIE ŚLEDZI

W miastach, oczywiście, nikt sam sobie śledzi nie wędzi; na wsi jednak, gdzie takie śledzie dochodzą już niezbyt świeże, bardzo łatwo je sobie uwędzić, mając wędzarnię, odpowiedni komin, lub chociaż beczkę, przysposobioną do wędzenia mięsa. Śledzie zwykłe (nie uliki) małe szkockie, lub duże norweskie, namoczyć na noc w zimnej wodzie. Rano wyjąć z wody, obetrzeć do sucha, nanizać przez oczy na mocny szpagat i powiesić w wędzarni. Jeżeli chcemy mieć śledzie miękkie, jakby pieczone, należy je powiesić nisko, aby gorący dym do nich dochodził; jeżeli chcemy je mieć tylko uwędzone, jak śledzie tak zwane łososiowe, trzeba je powiesić bardzo wysoko, aby się wędziły w zimnym dymie. Jedne i drugie po paru godzinach dymienia mają dosyć. Śledź, świeżo uwędzony, jest wyborny. O ile ktoś może dostać śledzi surowych, niesolonych, może w taki sam sposób je uwędzić po sześciogodzinnem nasoleniu, jak do smażenia, a będzie miał wyborne piklingi.

ŚLEDZIE MARYNOWANE W RODZAJU SARDYNEK

Śledzie, doskonale wymoczone, oczyścić starannie z ości, odrzucić głowy i ogonki, nie naruszając skórki. Przepołowić wzdłuż, poczem przekrajać raz w poprzek, aby otrzymać cztery ładne, równe kawałki. Utarzać w mące, usmażyć na szmalcu lub oliwie, smażyć ostrożnie i na wolnym ogniu, aby się nie porozpadały. Gdy ostygną, ułożyć w szklane naczynia, w których mają być podawane, kładąc pomiędzy nie parę goździków, ziarn pieprzu i ziela, kawałki listka (nie za dużo) i trochę otartej skórki cytrynowej; zalać najlepszą oliwą, aby objęło. Przycisnąć talerzykami i lekko ciężarkami; po trzech dniach brać do użycia. Są wyborne, lecz długo się konserwować nie dają — dni dziesięć, do dwóch tygodni tylko.

GALARETA PONCZOWA

Otrzeć skórę z trzech cytryn, wycisnąć z nich sok na maszynce, wlać do rondelka z pięciu szklankami wody, zagotować, przecedzić przez gęste sitko;

wsypać dwadzieścia deka cukru, zagotować ponownie. Dwanaście listków żelatyny (latem 16 listków) namoczyć w zimnej wodzie. Gdy dobrze nabrękną, wrzucić do gorącego smaku i rozpuścić. Odstawić od ognia, wlać spory kieliszek rumu lub araku, przełożyć do foremki i wynieść na chłód na sześć godzin przynajmniej.

MUS PONCZOWY

Dwanaście listków białej żelatyny rozpuścić w szklance wody, dodać skórkę, otartą z cytryny i sok, wyciśnięty z trzech cytryn, przecedzić; wlać duży kieliszek rumu, zmieszać płyn, — powinno go być dwie szklanki. Półtorej szklanki cukru ubić do białości z pięciu żółtkami, zmieszać z częścią płynu, ogrzewać, ubijając, na ogniu, aż zgęstnieje, jak szodon. Ubić na sztywną pianę pozostałe białka, wlać duży kieliszek rumu, wymieszać z białkami i przełożyć do formy od kremu wylanej wodą i wysypanej cukrem, wynieść na chłód, lub wstawić do lodu na sześć godzin conajmniej. Wydając, obłożyć makaronikami, wiórkami migdałowymi lub biszkopcikami.

GALARETA PONCZOWA CIENIOWANA

Sok z sześciu cytryn i skórkę, otartą z trzech z nich, wlać do rondla z dziesięcioma szklankami wody i 1 kilo cukru; zagotować, dodać dwie szklanki białego, owocowego wina, lub araku i nie gotować już więcej, aby aromat się nie ulotnił. 24 listki żelatyny białej, wstępnie dobrze rozmoczonej w zimnej wodzie, rozpuścić w paru szklankach tego płynu, i zmieszać z resztą. Gdyby galareta nie była zupełnie klarowna, sklarować ją paru białkami i przecedzić; zwykle jednak nie zachodzi tego potrzeba. Oddzielnie rozpuścić w szklance wody trzy, lub cztery listki żelatyny czerwonej. Dwie spore formy do galarety ustawić na lodzie lub w śniegu. Wlać trzecią część białej galarety. Gdy zastygnie, dodać trzecią część czerwonego płynu do reszty galarety i nalać tym różowym kolorem drugą część form, znów zastudzić. Nakoniec zakolorować na ciemno różowo resztę galarety, wylać do form i postawić na 6—8 godzin na chłodzie. Wyrzucić na półmiski i podawać. Jeżeli jesteśmy zmuszeni kolorować galaretę, lepiej jest rum lub arak dodawać na samym końcu, aby się zapach nie ulatniał.

PEPPERMINT GLACÉ

Jakikolwiek likier miętowy: peppermint, menthe glaciale, lub likier krajowy — daje się użyć w taki sposób. Większą połowę szklaneczki, szampanki, napełnia się lodem, utłuczonym na drobne (rozmiaru laskowego orzecha) kawałki. Na to się wlewa kieliszek od wódki miętowego, zielonego likieru i natychmiast podaje ze słomkami; jest to trunek bardzo orzeźwiający.

Pani Elżbieta.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE
LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7. KRUCA 31, m. 3.

DOBRE RADY

Chcąc odświeżyć stare, popękane meble — trzeba zalepić woskiem lub delikatnym kitem do mebli wszystkie szpary, a następnie politurować. Przytem trzeba uważać, aby nie wycierać mebli olejem w złym gatunku, bo matowieją i politura się niszczy.

* * *

Tłuste plamy wywabia się z jasnego jedwabiu w sposób następujący: białą francuską kredą natrzeć plamę z lewej strony i tak pozostawić na parę godzin. Następnie szczyścić, zdmuchując kredę — a gdyby plama zupełnie nie zniknęła — powtórzyć to samo z prawej strony.

KORESPONDENCJE

Pani St. J. — Dobrze. Przed dwoma laty kilka firm naszych, naśladując modę pierwszorzędných firm paryskich, starało się wprowadzić koszule w centki czarne, lub z czarnymi wypustkami wzdłuż gorsu, przy zapinaniu na czarne spinki, do smokinga. Ta moda nie przyjęła się u nas na dłużej i po jednym sezonie wróciliśmy do białych koszul.

Pani S. K. — Września. Takich wzorów u nas niema. Postaramy się wkrótce podać w „Bluszczu” urządzenie pokoju dla młodej panienki.

Pani Z. B. — Kobryń. Haft norweski jest naturalnej wielkości, wystarczy przerysować go; inne wzory tym haftem postaramy się podawać od czasu do czasu.

Pani M. R. — Mieczysławówka. Najlepsze wskazówki znajdzie Sz. Pani w książkach i broszurkach p. Gałczyńskiego. Są do-

skonałe napisane, traktują przedmiot wyczerpująco i kosztują minimalnie. Niech Sz. Pani napisze do firmy Ulrich (Warszawa, Ceglana 11), gdzie jest skład główny tych wydawnictw, a nadeślą katalog wraz z cenami.

Pani S. Z. — Maków. Listu, o którym Sz. Pani pisze, nie otrzymaliśmy dotąd, nie możemy zatem umieścić dokładnych wskazówek. Może w odpowiedzi, danej pani M. K. w nr. 7 „Bluszczu”, znajdzie Sz. Pani odpowiednie dla siebie wiadomości.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

„Hodowla i tuczenie drobiu“

PRAKTYCZNE RADY RACJONALNEGO
PROWADZENIA DOCHODOWEGO
GOSPODARSTWA DROBIOWEGO

CENA 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O pielęgnowaniu rąk“

FACHOWE RADY I WSKAZÓWKI.
JAK PIELEGNOWAĆ RĘCE.

CENA 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak. - Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. - Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.